ŚWIAT

Nr. 44
31. X. 1936
CENA 1 ZŁ.

W RZYMIE NA PALATYNIE ODBYŁO SIĘ UROCZYSTE NAPEŁNIENIE ZIEMIĄ PALATYNU URNY, KTÓRĄ PRZYWIOZŁA DELEGACJA WŁOSKA POD PRZEWODNICTWEM GEN. COSELSCHI'EGO NA KOPIEC MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO NA SOWIŃCU.



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 44 — 31. X. 1936

L. CHRZANOWSKI

PALATYN – KOLEBKĄ RZYMU

Z wiecznego miasta, z serca Włoch, — z Rzymu, przybyła specjalna misja wojskowa, wioząc urnę z ziemią Palatynu na kopiec na Sowińcu.

Włochy złożyły hołd Marszałkowi Polski — Józefowi Piłsudskiemu. Amfora z ziemią z Palatynu odbyła daleką podróż, wiążąc symboliczną nicią legendy miejsce, gdzie była kolebka Rzymu, gdzie stała chata zwana „Domus Romuli“ z Sowińcem, gdzie powstaje kopiec Józefa Piłsudskiego.

Generał Coselschi, w imieniu stowarzyszenia ochotników wojennych włoskich z roku 1914-go, w imieniu państwa i rządu, przybył do Polski z ziemią Palatynu, z kopią rzeźby słynnej wilczycy rzymskiej, przeznaczoną dla Wilna.

Któż nie zna legendy o wilczycy rzymskiej, co wykarmiła dwa bliźnięta, Romulusa i Remusa. Romulusa — założyciela Rzymu.

Któż z nas, kto dotarł do Rzymu, nie utrwalił w swej pamięci żywej wilczycy, co, jak symbol wiecznego miasta i jej założyciela, przy wspaniałych schodach, wiodących na Kapitol, patrzy na przechodniów ze swej groty-klatki. Ta grota ma przypominać grotę rzeczywistą, w której według legendy dobrotliwa wilczyca karmiła Romulusa. Bo nie tu, nie przy schodach na Kapitol wiodących, założyciel Rzymu miał swą kolebkę prymitywną. Nie tu, lecz na Palatynie, a raczej u stóp obecnego Palatynu. Przy pozostałych resztkach murów rzymskich, murów tak zwanej Roma quadrata, wzdłuż ścieżki-alei, wiodącej nas ku minom Paedagogium — istnieje grota, coś w rodzaju kwadratowej cysterny, gdzie schroniła się wilczyca, karmiąca Romulusa i Remusa.

Kolebka Rzymu, była kolebką Palatynu, Palatynu co ongiś był ośrodkiem potęgi i kultury łacińskiej! — Zahamujmy jednak pęd wyobraźni, zahamujmy pęd reminiscencji, idźmy na chwilę na Palatyn współczesny.

Tam, gdzie była otoczona murami Roma quadrata, Roma prymitywna, założona w roku 753 przed Chrystusem, tam wznosi się wzgórze Palatynu. Trudno sobie uświadomić dziś, że dopiero w 1726 roku zaczęły się pierwsze wykopaliska, które doprowadziły nas do odsłoniętych dziś cudów Forum rzymskiego i Palatynu. Trudno uwierzyć, że właściwe szybkie tempo wykopalisk zaczęło się dopiero od 1861 roku.

Stare ryciny wskazują nam jednak pastwiska, krowy, całe stada krów pasących się sielsko na obecnem Forum i Palatynie. A dziś z dniem każdym wzbogaca się Palatyn nowem odkryciem, nowem wykopaliskiem, nowym dowodem dawnej kultury i sztuki. Tej kultury, która tak długo promieniowała z Rzymu.

Idźmy więc wzdłuż murów, wzdłuż min Paedagogium — czegoś w rodzaju szkoły młodych niewolników — idźmy, by dotrzeć do pałacu cesarza Augusta, który tu panował do 14 roku po Chrystusie. Z pałacu, który widział początek ery chrześcijańskiej, zachował się perystyl i 3 sale, dalsze jednak nieustanne roboty, ciągle coś wydobywają, ciągle coś ratują, odsłaniając nowe fragmenty.

Tuż obok sąsiaduje z nim Stadjon Domicjana, (który panował od 81 do 96 roku). Stadjon ten przeznaczony do ćwiczeń lekkoatletycznych ma długość 165 metrów. Otoczony jest portykiem, zbudowanym w 30 lat później przez Hadrjana. W środku stadjonu półkole zawiera dwupiętrową lożę cesarską. Część dolna, w formie sali, ozdobiona była freskami, których ślady przechowały się dotąd.

Po schodach wspinamy się do ruin pałacu Septymiusza Sewera (193 — 213 rok), obok mamy lożę cesarską, wspartą na trzech piętrach arkad. Lożę, z której cesarze patrzyli na wielkie igrzyska, rozgrywające się na Circus Maximus, który obecnie przywracany jest do swej wspaniałości. Miarą robót i nakładu pracy i kosztów, jakich nie szczędzi Rzym Mussoliniego przy wydobywaniu dawnej świetności może być szczegół — że tam, gdzie ongiś był Circus Maximus, stały niedawno zabudowania olbrzymiej gazowni miejskiej. Dziś gazowni niema — odradza się natomiast Circus Maximus. Patrzymy nań, patrzymy—i coraz wspanialszy widok roztacza się przed nami. Olbrzymia masa term Caracalli, oprawiona w piękny, starannie utrzymany park, zwany: „Passagiata Archeologica“. Na lewo Colosseum — ten jedyny na świecie gmach, gdzie potęga i lekkość linji zespoliły się wprost nieprawdopodobnie. Tu nieco bliżej smukłe cyprysy Palatynu. Dumne. Wiotkie i silne. Wytworne i tajemnicze. Drzewa kultu tajemniczego, bałwochwalcze i pobożne stoją przed nami blisko i daleko — obok w alei i tam w oddali. A dalej, zupełnie dalej Bazylika św. Pawła za murami, a jeszcze dalej, hen, na horyzon-



Widok na Bazylikę ś. Piotra i ogrody Kawalerów Maltańskich, sąsiadujące ze wzgórzem Palatynu.

cie ciemnieją góry Albańskie. Trudno oderwać wzrok od tego widoku, trudno oderwać się od wrażeń, które jak opary wieków snują się tu wśród głazów wykopalisk! Idźmy jednak dalej — tyle szczegółów, tyle jeszcze piękna przed nami na Palatynie!

Schodzimy więc i niedaleko mamy Pałac Flawjuszów, zw. też pałacem Domicjana. Wchodzimy do *triclinium* czyli sali jadalnej, w półkolistej absydzie mozajkowa posadzka, obok jest nympheum czyli zimowa jadalnia, dalej perystyl. a po małych schodkach schodzimy do podziemi, gdzie w dwuch małych salkach zachowały się jeszcze dekoracje ze stiuków i fresków. Za perystylem wielka sala tronowa długości 45 metrów — obok sala rady i trybunału.

Mamy jeszcze resztki sali bibljoteki — ale mimo tych szczątkowych ruin, to, co pozostało, świadczy jako całość, nietylko o imponującej potędze, ale i o kulturze Rzymu starożytnego. Idąc dalej, po paru schodkach, wchodzimy do domu Liwji. Jest to najlepiej zachowany zabytek architektoniczny Palatynu, liczy on sobie około 2-ch tysięcy lat. Jego mozajkowe, z kolorowych marmurów posadzki, malowidła, świetnie zachowane na ścianach, przedstawiają sceny z mitologji, pejzaże, dekoracje kwiatowe i roślinne.

Dom Liwji był połączony tajemnem przejściem z Pałacami Cesarskiemi, był to t. zw. kryptoportyk — był on długości 100 metrów i miał posadzkę mozajkową.

To tajemne, kryte przejście, pomimo wszelkich pozorów, nie było znów tak bezpieczne, jakby się zdawać mogło. Tam bowiem w 41 roku naszej ery zabito jednego z najokrutniejszych tyranów Rzymu — cesarza Kaligulę.

Ale wyjdźmy z podziemi kryptoportyku, wyjdźmy na świat Boży — aby stanąć w najpiękniejszej części Palatynu. Mamy przed sobą t. zw. Orti Farnesiani (ogrody Farnesów). Taras malowniczo obramowany cyprysami zaprasza do odpoczynku i do spojrzenia w dół. Jesteśmy na wzniesieniu 50 metrów — ponad sąsiedniem Forum Romanum, które stąd widać dokładnie w pełni uroku.

Urok Forum Romanum, to coś zupełnie odrębnego. Kiedy wiosną o zmierzchu w mgle blado-lila glicynij, ożywają kolumny, posągi i nagrobki; kiedy wczesnem latem tysiące róż zwisa ze skał i ruin lub przegląda się w basenie domu Westalek; gdy wyobraźnia wywołuje te białe kapłanki rzymskie, snujące się wśród czerwieni róż, co przetrwały wieki w ruinach ich świątyń — to czar, zamyślenie, skupienie obejmują nas wszechwładnie w swe posiadanie. A później kwiaty bez przerwy kwitną w cienistych zaułkach Forum, kwitną wiosną, latem i jesienią!

Forum Romanum — to prawdziwe uzupełnienie podnóża Palatynu. Snuć wizje tych dwuch miejsc można całe życie. Melancholja ich piękna i piękno tej zamierzchłej przeszłości, to są wrażenia, to są uczucia, które trudno słowem wyrazić, tak jak trudno odmalować *słowem wzruszenie, jakie sprawia w życiu piękno lub dobro*. A gdy z wyżyny Palatynu zaczniemy schodzić, opuszczając kolebkę Wiecznego Miasta i kolebkę kultur łacińskich Europy, gdy po gładkim, starorzymskim bruku pochyłej ścieżki schodzić będziemy ku Forum, to mijać będziemy potężne ruiny pałacu Kaliguli. Temu Cezarowi — za ciasno było w Pałacu Tyberjusza, więc w ciągu 4-ch lat swego panowania (37 do + 41) pospieszył się i wybudował gmach, który swą potęgą i rozmiarami zaćmił wszystko, co było przed nim.

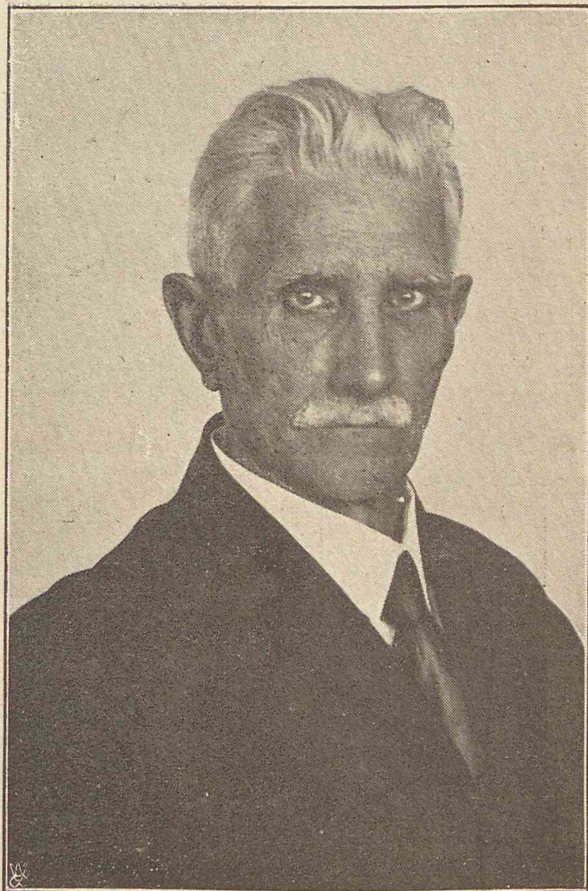
Ale pośpiech jest wrogiem trwałości. Po Kaliguli najmniej zostało na Palatynie. Pałac i olbrzymi most, co łączył Palatyn z Kapitolem legły w gruzach, rozsypując się prędzej, niż znacznie wcześniejsze budowle. Stoją dziś jeszcze nagie mury. Ocalały resztki sal i loggij, niektóre dekoracje ścienne, no i... napisy nieprzyzwoite, świadczące, że *ten* tyran nie miał zbyt wzniosłych zamiłowań.

Palatyn jest już za nami. Urok i czar tej przedziwnej harmonji architektonicznej nie opuszcza nas jednak tak łatwo. Niezwykła umiejętność połączenia piękna architektury, z rozplanowaniem ogrodów, z pięknem krzewów i kwiatów uderza nas tutaj na każdym kroku. Pozostaje to wrażenie na całe życie każdemu, kto doznał szczęścia zapoznania się z tem niezwykłem wzgórzem, gdzie ongiś była kolebka Rzymu, a gdzie dziś siła, energja i ekspansja twórcza tworzą nowe życie i potęgę Włoch współczesnych.

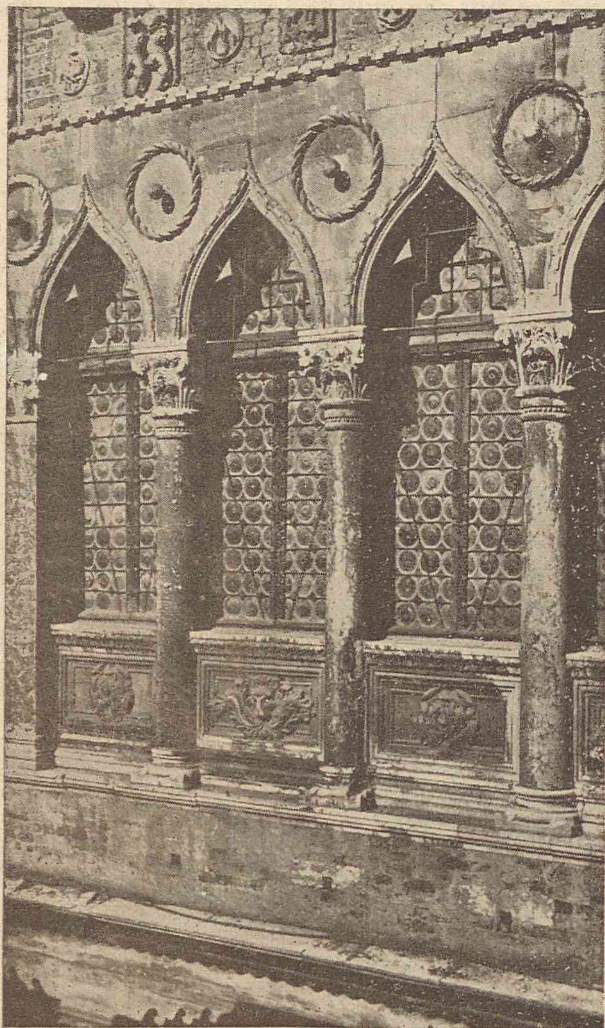
PRZED OBJEKTYWEM „Ś W I A T A"



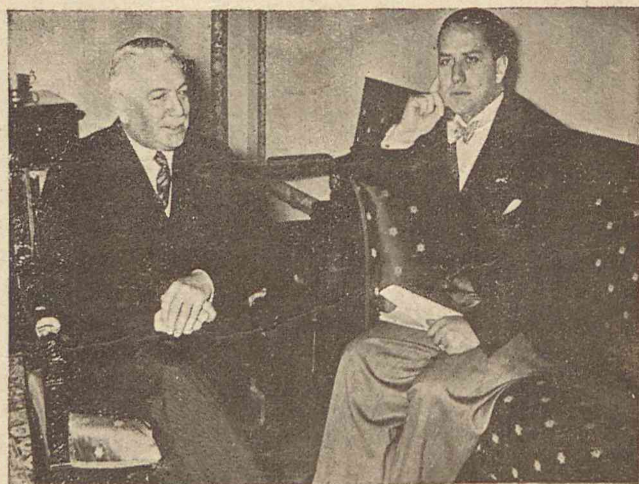
Prymas Polski, J. E. kardynał August Hlond obchodził w tych dniach jubileusz 10-lecia objęcia archidjecezji gnieźnieńsko-poznańskiej.



Ignacy Daszyński 26 b. m. obchodził 70-ą rocznicę urodzin. Wybitny działacz socjalistyczny, świetny mówca parlamentarny i wiecowy, utalentowany organizator masowego ruchu socjalistycznego — oto zalety Daszyńskiego, oto zasługi jakie położył w Polsce dla ruchu robotniczego.
Daszyński był również jednym z tych, którzy na zjazdach i obradach międzynarodówek socjalistycznych, wówczas gdy Polska rozbita na trzy zabory nie istniała jako państwo, jako całość — mówił o niej, mówił płomiennie i gorąco. Zyskał sobie nawet od towarzyszy Róży Luksemberg, Radka, Lenina, Plechanowa pogardliwą nazwę „socjal-patryjoty". Polska niepodległa musi widzieć w nim działacza rewolucyjnego, ale działacza, który na forum międzynarodowym wiele zdziałał dla wskrzeszenia imienia Polski.



Wenecję w tych dniach nawiedziło silne trzęsienie ziemi, zagrażając wspaniałym budowlom Perly Adrjatyku. Podajemy fragment jednego z najpiękniejszych pałaców weneckich „Ca d'oro".



Włoski min. spr. zagranicznych. hr. Ciano konferował ostatnio w Berlinie z bar. Neurathem min. spr. zagr. III-ej Rzeszy.

POŁÓW PEREŁ

Protokularna ignorancja

Czytamy w prasie francuskiej szeroki program uroczystości teatralnych, które odbędą się w Paryżu z racji przyszłorocznej wystawy Sztuki i Techniki. Oprócz teatrów stałych, normalnie funkcjonujących w stolicy świata — zjadą się co najgodniejsze zespoły zagraniczne dla zaprezentowania w szlachetnym turnieju kultury artystycznej swych krajów.

Więc Włochy przyślą zespół z La Scala. Niemcy — z Bayreuth. Sowiety — zespół Opery Moskiewskiej, trupę dramatyczną Stanisławskiego, teatr żydowski, i trupę amatorską żołnierską. Szwajcarja zaprezentuje niezmiernie oryginalne przedstawienie „Wilhelma Tella", odegrane przez pasterzy z kantonu Vaud. Austrja — operę z Salzburga, z Bruno Walterem, Belgja — swych najlepszych aktorów, którzy odegrają jedno z dzieł Maeterlincka. Grecja — tragedję Ajschylosa — wystawioną w oryginale starogreckim...

O nas — narazie cicho.

Oby tylko nie nastąpiło znowu protokularne qui-pro-quo!

Bo nasza abstynencja w Wiedniu—(którą wykrył Słonimski)—polegała, jak wyjaśnia jej sprawca, Kaden Bandrowski — na nieznajomości „amcenia". Oto ci wiedeńczycy poprostu nie wiedzieli — co za ignorancja! — że listu w sprawie wystawy teatralnej nie wolno posyłać wprost do pana Kaden-Bandrowskiego, sekretarza PAL'u i Zeusa w niejakim koncernie TKKT.

Taka droga *wprost* — jest niezgodna z protokułem. Stanowi wręcz antytezę regularnego, to znaczy skomplikowanego *„amcenia"*. Zaproszenie winno było być nam przesłane — drogą dyplomatyczną, proszę państwa. Wtedy Kaden byłby *może* odpowiedział. A tak — zaciął się.

„Nie znają — powiada — „arkanów" urzędowania, to ich ukarać. Polska zato nie weźmie udziału w ich wystawie!".

No — i jak rzekł, tak uczynił. Polska świeciła — nieobecnością.



Żeby tylko te paryżany zdążyły poznać obowiązujące labirynty reweransów wobec nas!.. Inaczej nieszczęście gotowe! Nieszczęście nie dla nas, ma się rozumieć. My jesteśmy wielcy. Niech się tamci martwią, jeżeli ich nie zaszczycimy naszą obecnością...

Z czem do gościa?

Ogłoszenie w jednem z warszawskich pism codziennych:

Potrzebne urzędniczki

jasne blondynki, ciemne brunetki, młode, ładne, wzrost 1.50 do 1,60 do filmu. Zgłaszać się od 6—8 w Wytwórni Libkow Film. Marszałkowska.

No proszę, co za perwersja...
Ausgerechnet *urzędniczki?*
A girlasa to już nie łaska?

Humor fracuzów

Prezes francuskiego Towarzystwa Literatów, Gaston Rageot, jest człowiekiem nader uprzejmym — umie jednak, w razie potrzeby, okazać silną rękę. Jeden z jego przyjaciół określił go tak: „Prezes ma szczęki żelazne — ale język aksamitny"...

×

Pewnemu paryżaninowi wskazano damę już niemłodą i wcale nie urodziwą. Przypomniano zarazem, że przed laty trzydziestu ta sama osoba była taka śliczna! I wyrażono zdziwienie, że nic z tej urody nie zostało.

Paryżanin przymrużył jedno oko i odparł: „Widzi pan — te kobiety zbyt ładne w młodości, potem zawodzą — tak jak owe dni, w które pogoda rankiem jest za piękna"...

Wątpliwe dobrodziejstwo

Dziedzic mówi: ja i mój warsztat rolny pracujemy na to, aby zapłacić co należy karbowemu, fornalowi i urzędowi skarbowemu. Wolałbym być u siebie karbowym niż „dziedzicem".

Przemysłowiec mówi: wolałbym być u siebie dyrektorem niż właścicielem — przynajmniej wiedziałbym, że co pierwszego mam określoną pensję.

Kiedy te słowa słyszy „trybun ludu" — pęka ze śmiechu. Z gryzącego, ironicznego śmiechu. „Krwiopijcy — i w dodatku obłudnicy!" — woła potem w świętem oburzeniu.

Czy słusznie?

Zaraz zobaczymy.

Przed paru dniami zarząd wielkiego koncernu przemysłowego „Wspólnoty interesów" na Śląsku oświadczył swym współpracownikom, że gotów jest im odstąpić akcje tego towarzystwa. Cena kupna byłaby potrącana ratami przy wypłacie pensji. W ten sposób stałoby się zadość pięknej idei, iżby każdy pracownik był współwłaścicielem firmy, w której pracuje. Pracowałby — teoretycznie biorąc — dla siebie — i u siebie.

I cóż?

Pracownicy przyjęli ofertę bez najmniejszego entuzjazmu. Podziękowali grzecznie. I oświadczyli, że oni już wolą dotychczasowe warunki — to znaczy gwarantowaną pensję. Zaś z zaszczytnego tytułu „właściciela" rezygnują. Uważają go bowiem za... wątpliwe dobrodziejstwo.

Czy można im się dziwić?

Pytanie

„Paniusiu złota, tak sobie czasem myślę, czy mąż przypadkiem nie ma mnie już dosyć".

— Skąd takie czarne myśli, pani droga?

„A bo widzi pani, już kawałek czasu, jak się w domu nie pokazał"...

— Ile czasu?

„Będzie niedługo siedem lat, moja pani"...

Uparty nurek.

CZYNNIK PEWNOŚCI I OPTYMIZMU

W naszem życiu gospodarczem każdy czynnik pracy twórczej, zasługuje na rejestrację, na uwydatnienie, na podkreślenie jego znaczenia, bo każda praca twórcza, to nietylko wymaganie dobrobytu ogólnego, to jeszcze, a nawet przedewszystkiem krzewienie samopoczucia pewności wśród obywateli.

A pewność mas to stabilizacja spokoju i ładu, to podstawa normalnego rozwoju narodu, państwa, instytucji gospodarczych i społecznych.

Bez tego samopoczucia ogólnego, bez tych podstaw nie można mówić i myśleć i normalnym rozwoju społeczeństwa. Wśród tych podstawowych zasad dwie są wśród narodów zachodu o wypróbowanej zdolności organizacyjnej specjalnie uznawane i przestrzegane.

Poczucie bezpieczeństwa i poczucie gromadzenia zasobów, to są dwie cechy zasobnych społeczeństw.

Cóż daje zwykłemu obywatelowi normalne, codzienne poczucie jego społecznego bezpieczeństwa? Co odpędza od niego koszmar troski o jutro? Co, pozwalając mu spoglądać spokojnym wzrokiem w przyszłość, decyduje, że jego „dziś" wolne od obaw, pozwala na wykorzystanie wszystkich sił nerwowych i wszystkich zdolności na dobrą, wydajną pracę. Ten spokój w pracy, to wzmożenie jej wydajności daje pewność, że zapasy dni dobrych, pomyślnych lub choćby tylko znośnych mogą tworzyć konieczną, niezbędną rezerwę na ewentualne gorsze dni niepowodzeń czy trudności.

Taką rezerwę świadomy, przezorny obywatel wytwarza dzięki zdrowej oszczędności, dzięki gromadzeniu zapasów. Fakt posiadania tych zapasów, fakt posiadania takiej rezerwy, to spokój jednostki, to kapitał jednostki, ale jednocześnie to kapitał całej społeczności. Dlatego to obywatel myślący o jutrze, człowiek oszczędzający i gromadzący rezerwę finansową dla siebie, to nietylko przezorny ciułacz, to również człowiek, przyczyniający się do dobrobytu, spokoju i równowagi całego narodu. Tylko ludzie spokojni, opanowani tworzą i pracują pożytecznie, oni budują jasną przyszłość narodu. Nie jest więc egoistycznem uczuciem odkładanie i gromadzenie oszczędności, to jest również działalność, mająca wszystkie cechy dodatniej pracy obywatelskiej. Ale ciułacz zakopujący swe „talenty" jak owe biblijne „siostry głupie" misji takiej nie spełnia. Spełnia ją natomiast każdy, kto swym oszczędnościom każe pracować. Pracować często dla ogółu obywateli, dla całego państwa.

Aby rezerwy poszczególnych obywateli osiągały pomyślne wyniki gospodarcze niezbędnem jest, by posiadali oni instytucję, która zespoli, zogniskuje ich wysiłki, która celowem spożytkowaniem zgromadzonych zapasów administrując, do gospodarczego rozwoju, a więc i dobrobytu przyczyniać się będzie.

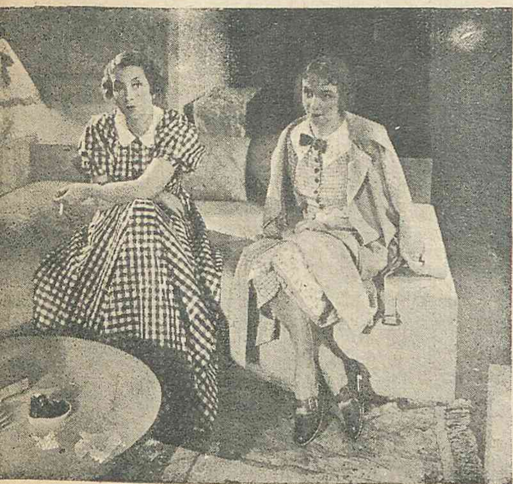
W pewnych okresach, w pewnych momentach naszego życia patrząc na bilans gospodarki narodowej, podsumowujemy plusy i minusy tej gospodarki, a wówczas nie możemy obojętnie przejść obok działalności, która swym planowym, celowym wysiłkiem nietylko gromadzi i powiększa kapitał narodu, ale jeszcze tak wydatnie wychowawczą rolę spełnia. Działalność instytucji, która potrafiła w okresie siedmiu lat przeszło dziesięciokrotnie powiększyć liczbę składających, a więc swych członków niejako, świadczy o najwyższem zaufaniu, jakiem cieszy się instytucja, która takie rezultaty osiągnęła. Któż może się poszczycić takiemi rezultatami, kto może się wylegitymować takiem wniknięciem w życie mas, takiem świadomem, stałem tych mas szkoleniem? Któż jak nie popularnie znana i uznana PKO. — ostoja wielu do niedawna lekkomyślnych, a dziś przezornych i w finansowem życiu narodu partycypujących obywateli.

Jeśli wkłady PKO. — od 1928 r. do 1935 r. wzrosły z 67,6 do 850 miljonów złotych, a liczba posiadających książeczki ze 180 tysięcy doszła do 2.200.000, to to najlepiej świadczy nietylko o wpływie tej instytucji na życie gospodarcze, ale również na szkolenie charakteru narodowego, zaprawiając go w stałym, regularnym wysiłku i utrwalaniu zasady przezorności i rozumnej oszczędności.

Te walory moralne, w jakie wzbogaca się naród dzięki zaufaniu, jakie posiada do kas i działalności finansowej PKO. są niewątpliwie równoznaczne z nagromadzonemi wartościami finansowemi. Takie fakty, jak wydawanie książeczek oszczędnościowych, to są objawy, uspasabiające do optymizmu i spokoju. Świadczą bowiem, że rośnie, że wzrasta zastęp obywateli jasno i spokojnie patrzących w przyszłość. Ale obok tych uwag musimy podkreślić aktywność i planową czynność tych zgromadzonych kapitałów, które często tworzą nowe dziedziny życia gospodarczego kraju.

Udzielanie pożyczek na cele inwestycyjne, zasilanie długoterminowym kredytem ruchu budowlanego i inwestycyjnego; dostarczanie tego kredytu pewnym i niezbędnym gospodarczo przedsięwzięciom — oto działalność, która każe rezerwie — oszczędzonemu kapitałowi pracować, wytwarzając błogosławione koło twórczej pracy, pracy bogacącej obywateli i państwo całe.

Czynnik oszczędności i ubezpieczenia, jakie masy obywateli znajdą w PKO. — odgrywa niewątpliwie wielką rolę w psychicznem nastawieniu społeczństwa, społeczeństwa, które nawet w okresach niepokoju i wahań międzynarodowych wykazało równowagę i spokój — płynące z pewności i zaufania, jakie stosunkowo od niedawna, bo niespełna od dziesiątka lat stały się jego nowemi cechami.



Romanówna i Zarębińska

TEATR MAŁY: „Zwycięska Płeć", komedja w 3-ch aktach M. Egana. Przekład Gustawa Olechowskiego. Reżyserja Zb. Ziembińskiego. Dekoracje Z. Węgierkowej.

Kłótni małżeńskiej aktów trzy! W czterech odsłonach! Na wszelkie tematy i tony. Miały w tem być jakieś problematy. Problematy nowoczesnego małżeństwa.



Romanówna i Piaskowska.

Równość czy przewaga? Takie zagadnienie było ultra-nowe lat temu niemal czterdzieści. Ćwierć wieku temu kobiety teoretycznie wywalczyły sobie „równość"... nie zatracając przywilejów. Zagadnienie i teza, że „kobieta też jest człowiekiem", niema już dla nas ani nowości, ani ostrości, nie jest więc problematem, za jaki chce je uważać autor „Zwycięskiej Płci". Pamiętam, sporo lat temu, przeżywałem z przejęciem jako młody chłopiec „problem" postawiony przez Bol. Gorczyńskiego w „Wyzwaniu". U nas wówczas problem kobiety-matki postawiony był już bojowo. Gorczyński — ten z kierownictwa literackiego T. K. K. T., pamięta zapewne tamtego — Gorczyńskiego autora. Pamięta dyskusje i powodzenie, towarzyszące „Wyzwaniu", więc zapewne dla niego, tak samo jak i dla nas niema żadnych „problemów" z zwycięskiej płci. Może na jakiejś zapadłej parafjalnej scenie... Ale nie, na takiej scenie nie możnaby mówić o małżeństwie na próbę. Więc nie traktujemy tej sztuczki Egana jako komedji „na poziomie", komedji — zagadnienia. To jest poprostu męcząca kłótnia nieznośnej babiny z jej domorosłym Ikarem o to, kto, kogo weźmie za łeb.

Nużące życie. Rozpaczliwy widok! Nowoczesne małżeństwo od takiego życia rozchodzi się już po pierwszym akcie, a ci urągają sobie przez cztery odsłony! Jedna dobra zasłona po pierwszym akcie mogłaby sztukę uratować. Niestety. Stało się inaczej. Wątpię, czy komedyjka zdobędzie powodzenie. Sekutnice nie lubią portretowania, a mężowie chyba nie będą mieli cierpliwości na „oglądanie" tego życia.

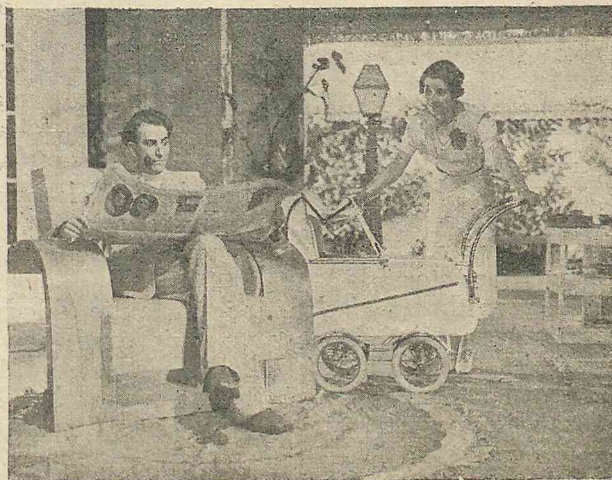
Romanówna — szarpała się i była szarpana. Nic innego nie



Kreczmar i Romanówna.

mogła robić. Gdy udawała podbitą odnajdywała swój wdzięk — ale to były sekundy. Ziembiński robił wrażenie jakby mu ulgę sprawiało wykłócenie się na scenie. Kreczmar był naturalny, z umiarem. To samo można powiedzieć o Piaskowskiej, Grolickim i Zarębińskiej. Wszystko razem składało się na stracony wieczór. Poco tyle aktorskiego i reżyserskiego wysiłku? ani dowcipu, ani „problemów", ani satyry, ani nowych dróg, ani dobrego szablonu — ot poprostu użeranie się na scenie bez ładu i składu.

L. Ch.



Ziembiński i Romanówna.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Syn pokazał ojcu swoje mieszkanie i nie mógł zrozumieć, że stary pan, tak rozmiłowany w komforcie, nie reaguje, że jakoś nie ucieszyło go wcale, gdy mu syn pokazał biurko swoje, w półkole zbudowane, według własnego planu tak, by siedząc na ruchomym fotelu, można było jednym obrotem sięgnąć do wszystkich papierów, encyklopedii i podręczników. Gdy pysznił się przed ojcem rozkładem świateł według najnowszych doktryn luminologji, z niewidocznych źródeł oświetlających miejsca i przedmioty i te tylko, nie inne. Gdy sprezentował mu rozkoszną papużkę. Gdy puścił w ruch w łazience bicz wody, przywracający ciału zmęczonemu sprawność, gdy szczycił się, że nawet w ubikacji ma żardinierę kwitnących roślin...

Stary baron patrzył na to wszystko nerwowo, wyczekując obiadu, na który nie miał wcale apetytu, ale jużby chciał być starszy o godzinę, by móc przy cygarze zacząć nareszcie tę rozmowę.

Tę rozmowę...

Nareszcie spłynęły wszystkie bieżące kwestje, rodzinne, materialne, cukrowe, lokalne, towarzyskie, kulinarne...

Stary baron miał szczęście. Syn zaczął.

— Powiedz mi, papo, jest coś czego mi nie mówisz. Poza twojemi słowami, ruchami, myślami, które wypowiadasz, jest coś, co ukrywasz.

— Zauważyłeś?

— Każdyby zauważył, kto cię zna. Jesteś zwykle spokojny, wesoły, cieszysz się łatwo — — —

— Bardzo się cieszę, mój drogi, że cię widzę, ale — rzeczywiście, masz rację. Jestem jakiś niespokojny. Czasem miewam przeczucia. Oczywiście nie zawsze się sprawdzają. Ale niepokoją. Nie umiem sobie zupełnie wytłumaczyć dlaczego, ale prześladuje mnie myśl uparta, że tobie coś grozi.

— Mnie?

Willy się przeraził.

Powtórzył jeszcze raz pytanie:

— Mnie? Cóż mnie może grozić! Jestem zdrów chwała Bogu.

— Może to nonsens. Ale mówię ci — przeczucie. Czy w twojej kancelarii wszystko w porządku?

— Najzupełniej.

— A w twoich stosunkach dyplomatycznych?

— Wszystko jak najlepiej. Z rządem tutejszym mam jak najlepsze kontakty. Tak samo z *corps diplomatique*. Karnawał nie życie.

— A czy z tutejszem poselstwem sowieckiem utrzymujesz stosunki?

— Początkowo były one zupełnie chłodne, prawie żadne, dopóki nasz rząd nie uznał Sowietów i nie zawarł z niemi traktatu handlowego. Od tej chwili jestem w normalnych stosunkach z tutejszem ich przedstawicielstwem, jak z innemi.

— Kto tu jest ich posłem?

— Konspirin.

— A poza tem?

Stary baron patrzył na wazon chiński.

— Jest radca, pierwszy sekretarz, druga sekretarka.

Baron drgnął, roześmiał się nerwowo.

— Jakto, kobieta w dyplomacji?

— Tak, u nich to przyjęte.

— Bolszewiczka. Może rozstrzeliwała — prowokował ojciec.

— Wcale nie. Dowiedz się, że tą komunistką — dyplomatką jest hrabianka Fermor.

Baron czuł, że czerwienieje. Coprędzej dolał sobie likieru, by zbytnie płomienie na twarzy upozorować benedyktynem.

— Znasz ją?

— Doskonale. Śliczna i bardzo inteligentna.

Nieszczęśliwy ojciec westnął głeboko, nabierał tchu — dla odwagi.

— Nie zakochaj się w niej aby...

Willy milczał.

Baron słuchał tego milczenia, przygwożdżony do fotela, znieczulony, czerwony, niemal siny.

— Bądź ze mną szczery, Willy.

— Oczywiście, że będę szczery.

— No więc?

— Trudno powiedzieć. Nie mogę jeszcze stwierdzić tego uczucia, które dyktuje człowiekowi czyny i słowa doniosłe w skutkach, ale jestem pod jej urokiem. Jest czarująca.

Baron musiał zebrać wszystkie siły, by nie wyskoczyć z fotela na środek pokoju.

Długa, długa pauza. Tak długa, że stała się nie do wytrzymania.

Willy wstał. Poruszył obraz jeden i drugi, choć wisiały prosto.

— Słuchaj, Willy. Bądź szczery. Ożeniłbyś się z nią?

— Możebym się i ożenił.

Stary jęknął. Chciał wstać, ale nie mógł.

— Willy, siadaj. Siadaj — mówię ci — i słuchaj. Nie chodź po pokoju, bo mnie to denerwuje. Musimy się zdobyć na wielki spokój. Każ podać wody sodowej.

— Woda jest. Proszę...

— Synu mój! Słuchaj uważnie. Będę mówił z tobą, jak mężczyzna, nie jak ojciec. Musisz się uzbroić w cierpliwość, wyrozumiałość, stanąć na poziomie człowieka zupełnie opanowanego.

— Ależ ojcze, ja właśnie takim jestem i to zawsze. Ale co się stało?

— Nina, hrabianka Fermor, jest moją córką...

Willy zaczął naraz myśleć zupełnie o czemś innem. To co usłyszał od ojca wydało mu się głosem z ulicy, śmiesznym urywkiem rozmowy, dziwnym trafem wpadającym w ich rozmowę.

Stary baron patrzał na syna żałośnie, niemal tchórzliwie.

Willy był zajęty tem, że obserwował, jak mu w uchu dzwoni.

Poczuł bardzo lekki ucisk na mięsień serca, bardzo lekki, ale poczuł. Pewno zjadł za wiele.

Ojciec wydał mu się człowiekiem zupełnie obcym.

Liczył spokojnie. Nina ma dwadzieścia sześć lat. Aha! Więc, on, Willy, miał... gdy ten pan, który tu siedzi...

Tak dawno. Matka nie żyje od lat dwudziestu ośmiu. Ojciec był wdowcem. Mógł robić co mu się podobało.

— Jakto, — pomyślał raptownie, — Nina... Nina jest jego siostrą! Przyrodnią, nielegalną siostrą. Ależ to cudownie! Przecież on ma dla niej czułe, braterskie uczucie. Nie, nie, kłamstwo. Inne uczucie...

Spojrzał na ojca, jakby go dopiero co zobaczył.

— Co ojciec powiedział?

Baron był naprawdę godzien litości. O mało nie płakał.

— Och, Willy, bardzo mi ciężko mówić tak do ciebie.

— To nie mów.

— Muszę. Miałem obawy, dowiaduję się, że słuszne.

Willy rzucił cygaro, zaraz wziął z pudełka nowe, starannie je obciął, zdjął opaskę, ale położył je z powrotem.

Stary rozstawił nogi, oparł łokcie o kolana i bawiąc się nożem do rozcinania kartek, opuścił głowę tak nizko, że głos jego zdawał się wychodzić z pod kanapy.

— Jeździłem wówczas często do Rosji. Poznałem ich w Kijowie, podczas kontraktów. Niedobrane było małżeństwo. Hrabia był stary. Jakież to okropne! Dziś trudno mi samemu w to wierzyć.

Willy patrzył na ojca wyzywająco.

— To nieprawda.

Taka mu krzywdę zrobić!

— Prawda, Willy. Ale powiedz. Przecież nie zapóźno —

— Zapóźno...

— Willy!

— Ach, nie o tem mówię. W sam czas. Ale pocoś mi to powiedział!...

— Willy, Willy.

— Daj pokój, ojcze. Wydaje ci się. Jesteś zarozumiały. Skąd pewność?

— Ona przecież wiedziała. Hrabina. Ostatni raz widziałem Ninę, gdy miała rok. Potem wybuchła wojna. I koniec. I dopiero teraz, po dwudziestu kilku latach. Spotkałem hrabinę na placu, gdzie targowałem się z jakimś wynędzniałym nieszczęśliwcem o starą figurkę sewrska. Obok jakaś kobieta kupowała pokryjomu osełkę masła. Spojrzałem. Poznałem odrazu. Drugiej takiej twarzy niema na świecie. Tylko że posiwiała. Rozmawialiśmy dziesięć minut. Dowiedziałem się, że Nina tu jest. Myślałem, że dostanę apopleksji. Tego samego dnia wyjechałem, choć miałem jeszcze interesów na tydzień. Willy! Jechałem nieprzytomny, by uprzedzić nieszczęście.

— A tymczasem sprowadziłeś je.

— Willy, co ty mówisz!

— Ojcze! Ja nie wierzę w to. Wracaj zaraz do Moskwy. Zobacz się z nią...

— To bardzo trudno. Niebezpieczne dla niej.

— Musisz. Bo ja nie wierzę. Bywa tak, że kobieta, chcąc przywiązać do siebie mężczyznę, którego kocha, wmawia w niego ojcostwo. Zażądaj od niej prawdy pod przysięgą.

Stary raptem odmłodniał. Wstał, wyprostował się. Nie było żadnego nieszczęścia. Czegoby on nie zrobił dla swego jedynaka. Spotkawszy wzrok syna, zarumienił się.

Pojedzie.

— Dam ojcu pudło cukrów dla hrabiny, ode mnie.

— Dlaczego?

— Tak sobie.

Uśmiechnął się. Nina kiedyś dowie się o tem. Będzie jej przyjemnie.

— Zwracam ci uwagę, mój Willy —

Już odzyskał rezon.

— Ojcze, musisz mi dać pewność.

— Ależ naiwny jesteś. Jeżeli mogła nawet kiedyś, wówczas, obrać taką metodę, by mnie utrzymać przy sobie, choć to się nie stało i nie było mowy o rozwodzie ani o małżeństwie powtórnem, to przecież dziśby tego nie mówiła kobieta po pięćdziesiątce. Gdy jej powiedziałem, że mój syn jest także dyplomatą w Kopenhadze, ta sama myśl powstała w jej mózgu. Widziałem raptowne przerażenie w jej twarzy na myśl...

— A jednak, proszę cię ojcze, dla mego spokoju, pojedź raz jeszcze do Moskwy i niech przysięgnie... Ona pewno wierzy jeszcze w Boga.

— Pojadę z ochotą, a nawet muszę pojechać, bo nie skończyłem interesów.

Willy bardzo kochał ojca, ale byłby rad, gdyby stary już siadał do wagonu. Chciał być sam. Tłukło go po mózgu, aż bolało.

— Nie chciałbym ojcze, byś tu brał wizę sowiecką. Jedź na Berlin, tam ci ją dadzą, albo w Warszawie się zatrzymaj, tam nasze poselstwo załatwi ci sprawę bez zwracania czyjejkolwiek uwagi.

— Masz rację.

Willy drżał na myśl o czwartku.

Co on jej powie! Jak się ma teraz względem niej zachowywać? Czy nie lepiej wyjechać i odłożyć widzenie się i rozmowę do powrotu ojca!

———

Zbliżał się termin otwarcia kongresu światowego.

Ogromne lasy padły pod siekierą drwali skandynawskich, polskich, rosyjskich, by dostarczyć cellulozy. Góry papieru czekały na zapisanie przez armię maszynistek. Himalaje druków, memoriałów, dokumentów, statystyk, odezw, mów wyczerpywały uzbrojone w okulary przemęczone oczy referentów, którzy dawno już przestali się orientować w tem co robią. Ze wszystkich stolic świata będą śpieszyły zasapane pociągi i okręty wiozące premierów, ambasadorów, ministrów, ekspertów, tłumaczy, stenografów a obok nich wszelkich maniaków, snobów, megalomanów i histeryków, jadących z gotowymi planami zbawienia. Druty telegraficzne i telefoniczne, fale powietrzne drgały nieustannie, przesyłając do stolicy Danii komunikaty, rozkazy, polecenia, informacje, tajne i jawne, a wszystkie były najważniejsze. Hotelarze będą zacierali ręce. Teatry, dancingi, kabarety, sklepy będą przepełnione.

Wszyscy byli podnieceni, pełni wiary, dobrej woli, egoizmu i bezmyślności.

Pannonia chce zwalczać Paneuropę, natomiast wysuwa program gospodarczych unii regionalnych. Królestwo ABC ma również wystąpić z planem unii, ale rasowych. Italia zareklamuje swój przykład uzdrowienia państwa. Germania zaproponuje rozbrojenie wszystkich oprócz siebie, bo nie ma jeszcze armii gotowej do boju. Wielka Brytania zażąda zniesienia flot wojennych, oprócz jej marynarki, która jest zjawiskiem naturalnym. Stanom Zjednoczonym Północnej Ameryki jest wszystko jedno. Mogą się odciąć od świata i żyć same w sobie. Japonia zechce Panazji pod swoim przewodem. Chiny zaprotestują. Grecja chce Paneuropy, Portugalia nie chce. Francja pragnie iść od unii politycznej do gospodarczej, Polska od moralnej do ekonomicznej. Finlandia zażąda naprzód pacyfikacji prasy, Estonia unifikacji miar i wiag. Litwa żąda wprzód Wilna, potem godzi się na Paneuropę. Skandynawia trójgłośnie błaga, by jej dać święty spokój. Ameryka Południowa organizuje Panamerykę. Meksyk godzi się nawet na Panmundus, byle bez Watykanu. Hiszpania akceptuje plan, ale żąda równouprawnienia języka hiszpańskiego z francuskim i angielskim. Australia godzi się na Związek światowy z wyłączeniem Japonii, Holandia nie godzi się na emancypację polityczną kolonii, Belgia wyłącza z unii całą Afrykę. Wogóle robi się galimatias, bo jedni chcą utrzymać koniecznie na porządku dziennym wyłącznie kwestię Paneuropy, inni chcą sprawę rozszerzyć na cały świat, inni jeszcze zwęzić do najbliższych sąsiedztw. Z Niemcami nikt nie chce sąsiadować. Wszyscy żądają prawa emigracji, ale nikt nie chce pozwolić na imigrację. Każdy chce, żeby waluta była uniwersalna, ale koniecznie jego waluta. I stolica świata, żeby była w jego stolicy. Żeby ceny placów poszły w górę.

Ale nikt nie ma zamiaru wymienić głośno czternastu miliardów złotych wydawanych co rok na zbrojenia, stu czterdziestu miliardów co dziesięć lat i czterystu dwudziestu miliardów w jedno pokolenie, i powiedzieć, że każda rodzina świata mogłaby mieć pracę, mieszkać we własnej willi i prowadzić życie rozumne, dobre i piękne, gdyby tylko ludy oprzytomniały, a człowiek przestał być baranem w stadzie, rzucającym się na oślep w płomienie za ogłupiałym trykiem.

Szatan się śmiał, anioł płakał. Aryman się mścił, Ormuz był zasępiony.

Konspirin był w pysznym humorze. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby sobie zdawać sprawę, iż kongres — wieża Babel, bez żadnej idei przewodniej, bez żadnej wspólnej choćby doktryny, choć bylejakiej, nie tylko niczego nie dokona, ale pogłębi rozpacz narodów, które ujrzą jedyny ratunek w zniszczeniu istniejącego chaosu i wytworzeniu nowego.

Przeglądał pocztę otrzymaną z Moskwy. Oficjalne koperty odłożył na później, gazety przerzucił. Na biurku leżał jeszcze jeden list. Nierozcięty. Do Niny Fermor.

Już miał zadzwonić i oddać go adresatce, gdy— Zamyślił się.

Bo nie znał tego charakteru pisma. Dotąd Nina otrzymywała listy tylko od matki. Pamięta. Litery ogromne, stojące, adres według starożytnej, carskiej jeszcze ortografii. Nie umiała się stara dostosować do nowego reżymu... Ma w kasie parę klisz tych listów odfotografowanych. Poco? Nie zawierały nic ważnego! Ot tak. Na wszelki wypadek.

A oto list od kogoś nieznanego.

Zobaczymy...

Zadzwonił dwa razy.

Wszedł młody człowiek o spłaszczonym nosie i wąskiem czole.

— Otwórzcie no towarzyszu tę kopertę, tylko żeby śladu otwarcia nie było.

Towarzysz, bez słowa, wziął obojętnie list, a po dziesięciu minutach powrócił, niosąc kopertę i list, złożony oddzielnie.

Konspirin przeczytał uważnie, odłożył i długo myślał uporczywie, pomarszczywszy czoło.

List pochodził od jakiejś nieznanej mu kobiety, w którym donosiła „drogiej Ninie" wieść żałosną: oto matka jej, *grafinia Jelizawieta Pietrowna Stienbok - Fiermor*, zaziębiła się na pogrzebie znajomej, dostała grypy i zapalenia płuc i w parę dni zmarła. Podpisana zapytywała o różne dyspozycje. Z listu można się było domyślić, że to jakaś stara kuzynka.

Konspirin wahał się. Oddać list — znaczy, przede wszystkim, pogrążyć w żałobę uczuciową Ninę, tak mu potrzebną, teraz zwłaszcza, przed kongresem, — odebrać jej humor, wesołe usposobienie, chęć do życia, utrudnić jej bywanie między ludźmi, jednem słowem — pozbawić się jednego z dobrych narzędzi działania. Lecz oddać ten list— to znaczy jeszcze coś więcej: pozbawić się broni wobec samej Niny. Niech sobie ona będzie najwierniejszą komunistką, ale co grafinia, to grafinia, tego i *taparom nie wyrubisz*. Dopóki matka jej żyła i mieszkała w Moskwie, a córka wiedziała, że za najmniejszy jej krok fałszywy *mamieńka* pójdzie „pod ściankę", można było spać na oba uszy. Co się zaś stanie, gdy Nina poczuła się wolną od tej żywej kaucji — niewiadomo.

Dlatego lepiej listu tego nie oddawać.

Sygnał:

— Dawaj tu Dymitra.

Wszedł po chwili piegowaty, chudy, wysoki, złośliwie uśmiechnięty Dymitr.

Konspirin podszedł do kasy ogniotrwałej, przesunął tarczą dwa razy w lewo i ustawił na numer 28, potem w prawo trzy razy i ustawił na zero, wreszcie raz w lewo energicznie...

Drzwi otwarte ukazały stosy dokumentów i różnych szczególnych przedmiotów i aparatów.

— Towarzyszu Dymitrze Jakowlewiczu, oto tu macie fotogramy paru listów. Według tych wzorów napiszecie nowy, w tym samym sensie, stylu, tym samym charakterem pisma, na papierze sowieckiej fabrykacji, tego samego rozmiaru, i tak samo zaadresujecie, o, według starej ortografii.

— Rozumiem, towarzyszu pośle.

Uśmiech Dymitra nie mógłby się nikomu podobać. Nie podobał się nawet Konspirinowi.

— A zdolny padlec! Jak on te listy od „mamaszy" z tamtego świata, — jeżeli taki jest, — będzie dla Niny fabrykował! Genialny mierzawiec! Nieoceniony spec. I literat, i grafolog, i fałszerz, i *sukinsyn — ot, tak sztuka*...

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Dalej w świat... (fot. Tadeusz Piech)

B. ŻABKO-POTOPOWICZ

PALESTYNA W OGNIU

(Własny reportaż „Świata“).

„Podobno w Bethleem zorganizowano dziś w nocy napad. Na miasto nałożono 4.000 funtów kary. Wiele domów arabskich na przedmieściach wysadzono w powietrze, zaraz po zlikwidowaniu zajścia. Wiem dobrze, bo mój wuj tam mieszka. W ciągu wczorajszej nocy zabito i raniono 40 naszych. Ilu padło Anglików, nie wiadomo“.

Arab, mówiąc, nachyla się tajemniczo i ogląda się co chwila, jakby nas zewsząd podsłuchiwano. Czarne jego oczy błyskają z pod egzotycznego zawoju i opanowują nas pewnością wypowiadanych słów.

— A ja wam mówię, że dziś jeszcze będzie tam piekło...

Przed drzwiami kawiarenki siedzą nieruchomo, niby wykute w skale posągi, smukli beduini. W nargilach bulgocze woda. Oblane ciemnym brązem twarze odbijają od jaskrawych żółtych i białych burnusów.

Nasz gospodarz uśmiecha się tajemniczo i rzuca złowrogie spojrzenia żołnierzom Jego Królewskiej Mości Króla Edwarda VIII.

— A ja wam radzę po raz ostatni — nie jedźcie dziś do Bethleem...

*

Jerozolima ginie w szaro-żółtej monotonji krajobrazu. Przed nami po zboczach górskich biegnie serpentyna drogi. Po obu stronach, wśród kremowych skał wyrastają małe kamienne domki. Martwota... Wypalone żarem słońca trawy, umarłe z pragnienia, szarzeją niemym wyrzutem.

O, wiecznie niebieskie, żar lejące, śmierciodajne niebo!

Hen, na horyzoncie poprzez muślinową zasłonę oddali majaczą góry Transjordanji, mgliste przestrzenią i pewnie tak żółte z bliska, jak te obok nas. W dolinie u stóp szarych murów horyzontu rozlała się ciemną plamą bezruchu martwoty woda. Morze Martwe!



Mały senegalczyk (fot. Tad. Piech)

Droga tętni rozgardjaszem wschodu. Hałaśliwi przekupnie. Osły. Konie. Samochody. Przed samemi murami miasta, niby egzotyczna dekoracja filmowa, płynie karawana. Jeden za drugim ociężałym krokiem kołyszą się rytmicznie jednogarbne dromadery.

*

Szofer-Arab co chwila dorzuca parę uwag do naszej rozmowy.

— Możecie śmiało jechać wszędzie. Ibrahim jest bujacz i zawsze przesadza. W biały dzień bardzo rzadko zdarzają się napady.

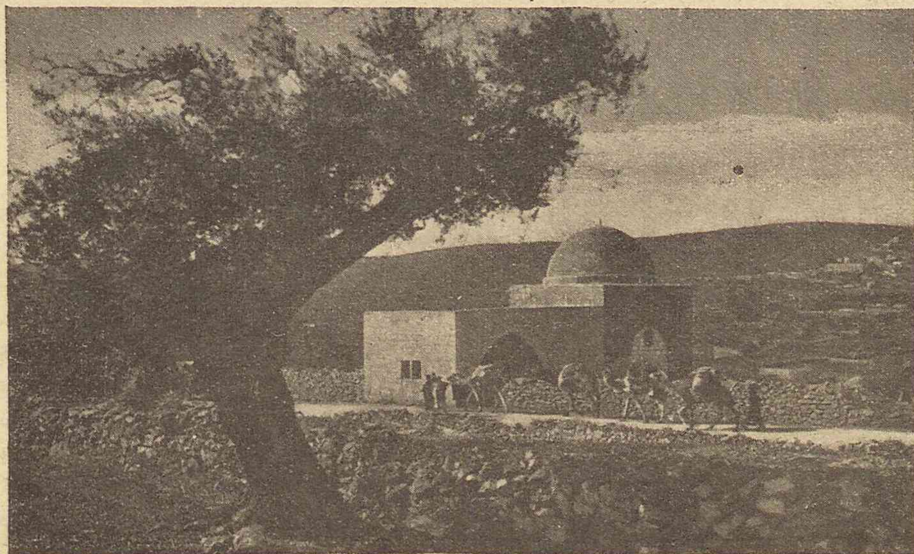
Przejeżdżamy granicę miasta. Przy każdym okazalszym budynku szofer objaśnia nas:

— To jest kościół dla Niemców.

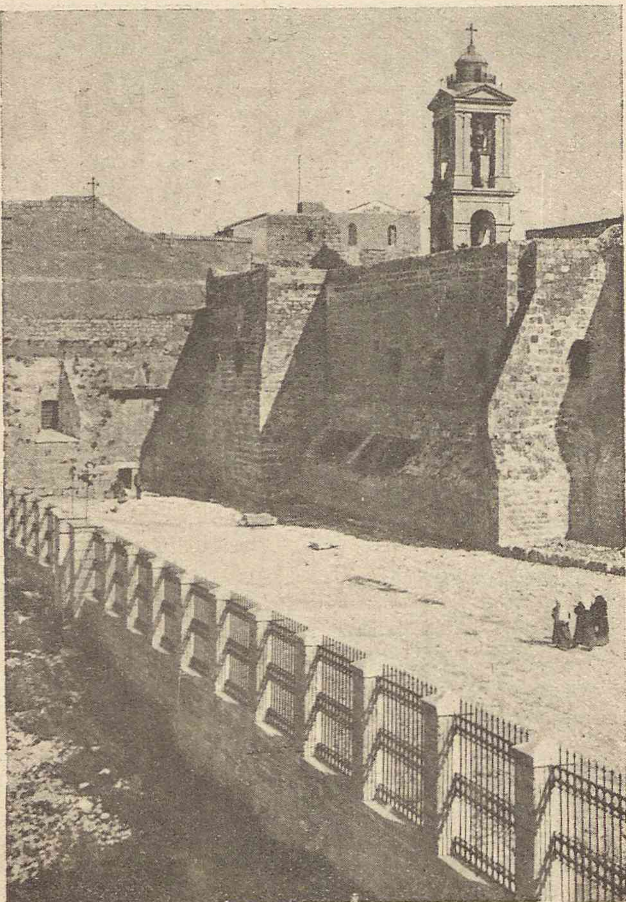
— To jest szpital dla Francuzów.

— To jest uniwersytet dla Żydów.

— To są koszary dla Anglików.



Grób Racheli przy drodze do Bethleem.



Wejście do świątyni Narodzenia Chrystusa.



Jerozolima ginie w mgle w oddali.

Oczywiście! Przecież w jego mniemaniu nic nie należy do Europejczyków. Wszystko jest własnością Arabów. Cała Palestyna. Tych kilka domów oddano tylko „dla ich użytku".

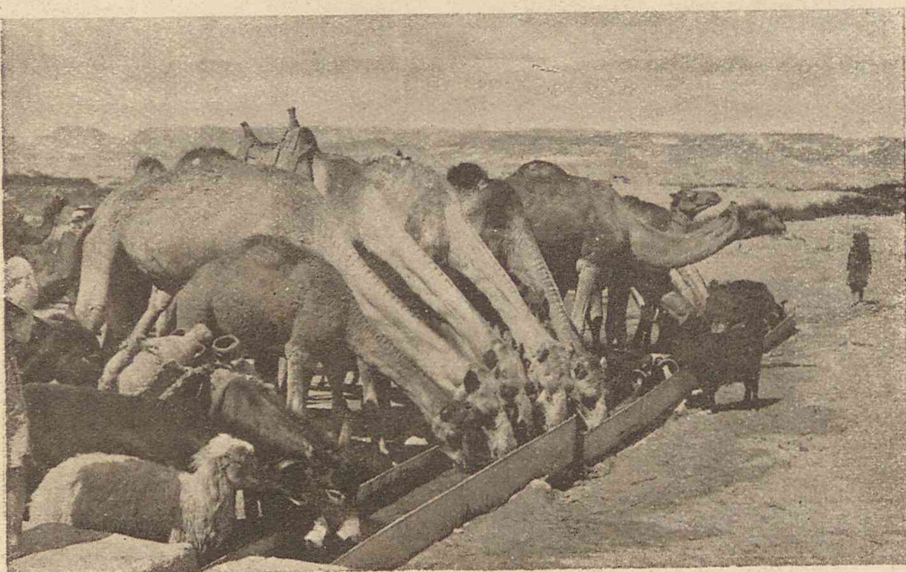
W miejscu stajenki Bethleemskiej stoi wspaniała świątynia. Na prostokątnym placyku przed kościołem, długim szeregiem stoją auta. Samochody pancerne. Oil tanks. Ciężarówki. Szybkie małe automobile z karabinem maszynowym z tyłu.

Sierżanci równają długi dwuszereg żołnierzy. — Baczność! Równaj w prawo!

Przetasowują się zielone mundury khaki. Kaski kolonjalne. Koszule z półrękawami. Krótkie spodenki. Barwne kraciaste pończochy. Szkocki pułk. Przybył podobno z Egiptu. Chłopy naschwał. Jeden w drugiego. Twarze. Szyje. Ręce. Kolana. Wszystko opalone na czerwono bronz. Wyjątek stanowi major. Wysoki rasowy blondyn z krótkiemi jasnemi wąsikami...

— Baczność! Panie majorze, melduję posłusznie...

U wodopoju w okolicy Bethleem.





Arabowie rozwinęli tyralierę przeciw anglikom.

Typ araba.

Trzeba zaczekać, aż od wejścia do świątymi odjadą pancerki.

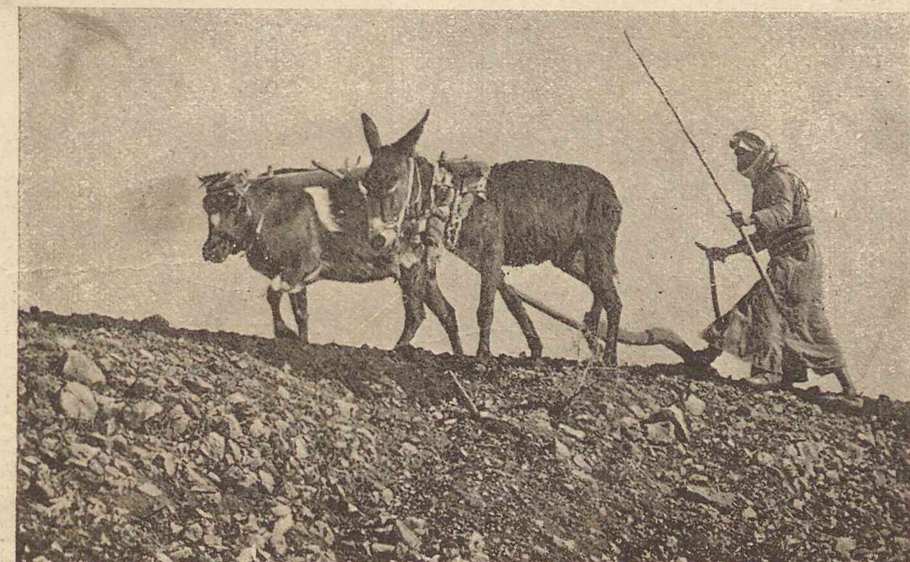
Stary Arab, sprzedający pamiątki z Bethleem, nie daje się wciągnąć do rozmowy. Odpowiada półsłówkami łamaną francuszczyzną.

— Nie wiem, czy były jakieś walki i czy kogoś zabito. O niczem nie słyszałem. Poco tyle wojska i te samochody czerwonego krzyża? A ja skąd mogę wiedzieć? Pewnie manewry...

Zapewniamy go że nie jesteśmy ani Żydami, ani Anglikami. Nasz szofer dorzuca parę słów po arabsku. Staruszek robi się przystępniejszy.

— Jeżeli, prócz pocztówek i wyrobów miejscowych, chcecie obejrzeć lub kupić coś ciekawego, to chodźcie tutaj. To są autentyczne zdjęcia z czasów, kiedy Arabowie, łudzeni nigdy niespełnionemi obietnicami stworzenia wielkiego państwa arabskiego, pod wodzą angielskich oficerów, krew swoją oddawali brytyjskiej sprawie.

Fellah arabski orze w krowę i osła





Podczas okresu rozruchów wszędzie krążą patrole angielskie.

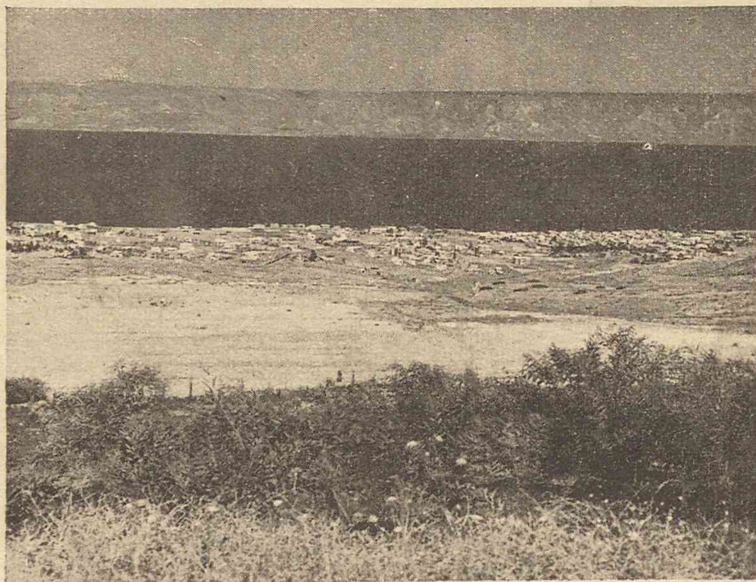
Po długich targach nabywamy zdjęcia. Arab przysłuchuje się uważnie polskiej mowie.

— Skąd wy jesteście?

— Polska... Pologne... Europe...

— Ach Polska! Czytałem o niej wczoraj w gazetach. Chcecie przewieźć do nas wszystkich swoich Żydów. Wozi ich wielki statek, nazywa się „Polonia".

W płonących czarnych węglach oczu Araba wzbiera morze nienawiści.



Morze Martwe.

*

Przy narożnym kramiku stoi paru chaluców. Jednego z nich, młodego Żyda, pamiętamy ze statku.

— Dzieńdobry. Przygląda się pan wojskowej paradzie?

— A widział pan, ile tego jest? Przywieźli już 30.000. Komedjanty! Poto żeby zdławić bunt kilkuset Arabów. A my za to wszystko płacimy. Był pan już na żydowskich kolonjach?

— Jeszcze nie zdążyłem.

— Pan tam zobaczy, jaki bezmiar nieludzkiej pracy, wysiłku i poświęcenia wkładamy, żeby odrodzić ten pustynny kraj. O kapitałach nawet nie mówię. Miljardy. I pan myśli, że dla jakichś politycznych komedyj wyrzekniemy się tej potem i łzami przesiąkniętej ziemi? Najprzód będą musieli przelać potoki krwi...

*

Maleńki kwadratowy otwór wpuszcza pątników do świątyni. Ściemniałe starością wieków, wznoszą się kolumny bazyliki, wzniesionej natchnieniem artystów cesarzowej Heleny. Od poczerniałych kamieni ołtarzy do schodów, wyżłobionych setkami miljonów ludzkich stóp, wszystko zda się mówić o potędze minionych wieków.

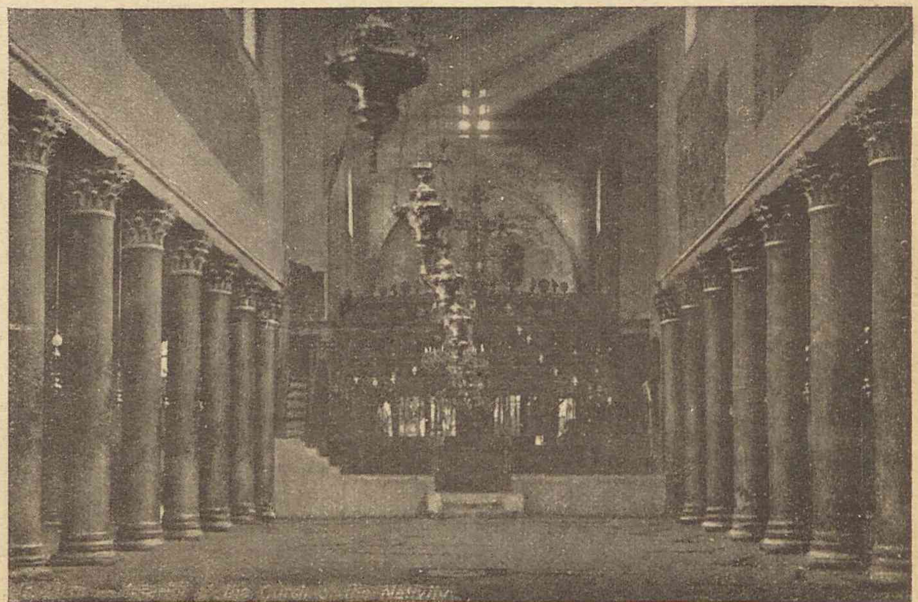
— Byliśmy... Odeszliśmy... Zaklęliśmy moc naszą w kamienne natchnienie...

Przystajemy w przedsionku, by wsłuchać się w monotonne pienia niewidzialnych chórów. Stąd wypływa i tu się kończy tęsknota miljonów za nieznanem... Gdy śpiewy cichną, na dusze spływa tajemnica wieczności...

Z za kamiennych murów złowrogiem echem odbija zgrzyt żelaza. — Machine guns up! Podnieść karabiny maszynowe!

Przez wąskie schody wnikamy w ciemność groty pod kościołem.

TU LAT TEMU 1936 NARODZIŁ SIĘ JEZUS, KTÓRY POKÓJ PRZYNIÓSŁ LUDZIOM DOBREJ WOLI.



Na miejscu stajenki Bethleemskiej stoi dziś wspaniała świątynia.

ZBAWCZY FIGIEL

(Ze wspomnień o Szkole im. E. Rontalera).

W tych dniach dawni uczniowie Szkoły E. Rontalera zjechali się gremjalnie do stolicy dla wzięcia udziału w uroczystości 50-lecia uczelni. Zebrało się wielu mniej lub więcej poważnych panów na stanowiskach i zaczęto sobie z humorem przypominać doskonałe figle, płatane ongi w „kochanej starej budzie“.

Kilku dawnych kolegów odtworzyło pewien epizod, który zasłynął jako jeden z najbardziej pomysłowych, nowoczesnych kawałów uczniowskich.

Omawiany kawał z przed ok. 36 lat miał miejsce w klasie 4-ej. Bohaterem był 14-letni entuzjasta elektrotechniki stosowanej „Jacek“ *).

Już jako mały chłopaczek szerzył wokół „kulturę elektrotechniczną“, polegającą na tem, że za własne oszczędności uczniowskie zakupywał materjał elektrotechniczny i na własny rachunek zakładał dzwonki elektryczne w mieszkaniach swoich ciotek i przyjaciół domu, mając jako jedyną nagrodę poczucie wypełnionego obowiązku obywatelskiego na polu elektryfikacji mieszkań.

Dla „specjalisty“ mającego takie bogate doświadczenie fraszką była instalacja poniżej opisana. Ale dowcip polegał na okolicznościach, w jakich została dokonana i na momencie jej uruchomienia.

Nowoczesny gmach Szkoły przy dawnej ul. Kaliksta był zaopatrzony w sygnalizację dzwonkową, przyczem w każdej z sal szkolnych znajdował się dzwonek elektryczny, przyłączony do baterji centralnej, a przycisk był zainstalowany w służbowym gabinecie „Edzia“, t. j. Dyrektora Szkoły.

Lekcje się zaczynały, a przedewszystkiem „kończyły“ o pewnych określonych godzinach według sygnałów dzwonkowych.

Była właśnie lekcja niemieckiego. Na katedrze niestrudzony „językodawca“ prof. Essenburgier. Według alfabetu wywołuje on „ofiary“ — żądając cytowania z pamięci jakichś prawideł gramatycznych.

W pewnym momencie przychodzi kolej na Kazia. W przeciwieństwie do wielu kolegów, którzy akurat w tym dniu wyjątkowo bledli usłyszawszy swe nazwisko, nasz „lingwista“ wstaje z ławki z rozpromienioną miną i ku naszemu zdumieniu z figlarnym uśmiechem oczekuje na ścięcie. Pada z katedry pierwsze pytanie, chwila ciszy, gdy wtem słychać radosny dźwięk klasowego dzwonka elektrycznego, zwiastującego pauzę! Część kolegów biegnie do upragnionego bufetu, część zaś składa gratulacje niedoszłej ofierze ofensywy prof. E ze słowami: „ale ty, chłopcze, to masz prawdziwe szczęście“.

Wtem na schodach wyjściowych powstaje jakiś popłoch. „Edzio“ prowadzi pod rękę naszego profesora i coś mu z właściwą sobie gestykulacją tłomaczy. „Widać“ i „słychać“ ze strony profesora jakieś gęste tłomaczenie się, ale nic nie pomaga. Nasz kochany Dyrektor wprowadza biedaka z powrotem do sali i autorytatywnie oświadcza, że pauzy jeszcze niema, dzwonka nie było, samowolne przedwczesne opuszczanie sali narusza porządek szkolny i jest niedopuszczalne ani ze strony uczniów, ani... profesora. Sytuacja staje się dramatyczna, bo prof. E. zaczyna się gęsto tłomaczyć, że dzwonek słyszał na własne uszy zupełnie dokładnie i zwraca się do klasy z zapytaniem. Wszyscy mu potakują, ale „Edzio“ jest nieubłagany, każe kontynuować lekcje, w sali zaczyna się wytwarzać atmosfera nieznośna, gdy wtem na szczęście dzwonek daje prawdziwy sygnał pauzy. Na korytarz wybiega w jednej chwili nie tylko nasza klasa, ale i wszystkie inne.

Sensacyjne to zajście gorąco było omawiane przez całą sztubę.

Po przerwie przed kolejną lekcja wchodzi do klasy inspekcja pod przewodnictwem „klasowego gospodarza“, kochanego i przezacnego prof. Wacława Klossa. Padają zapytania, niejasne odpowiedzi, jednak sytuacja zostaje nadal niewyjaśniona. Wtem prof. Kloss zaczyna się wpatrywać w dzwonek zawieszony tuż pod sufitem. Bystre jego oko spostrzega cieniutkie druciki, które wzdłuż futryny drzwiowej schodzą po ścianie do ławki stojącej przy ścianie i po podłodze dochodzą do tornistra Kazia. W ławce Komisja znajduje zwoje drutów, mokrą baterję elektryczną, przycisk dzwonkowy, a pozatem całe laboratorjum. Sprawa zaczyna się wyjaśniać ku zdumieniu i wesołości obecnych.

Zakończenie awantury było bardzo charakterystyczne dla *naszej* starej kochanej budy. Rada nauczycielska po rozpatrzeniu wniosków „za i przeciw“, z inicjatywy prof. W. Kłossa, po uzyskaniu aprobaty ze strony „Edzia“ wybaczyła winę młodemu delikwentowi ze względu na oryginalność i inteligencję, z jaką był dokonany ten wyborny figiel uczniowski.

W ten oto sposób świetny propagator nauk technicznych w Polsce, obecny dyrektor Muzeum Przemysłu i Techniki — wykazał już na ławie szkolnej swe zdolności i zamiłowania.

B. P.

*) Inż. Kazimierz Jackowski, obecny Dyrektor Muzeum Techniki i Przemysłu.

TAJEMNICA ELEGANCJI

(Rozmowa dwuch wytwornych warszawianek).

— Nigdy cię nie widziałam tak szykownie ubraną! Wracasz z zagranicy? Paryż czy Wiedeń?

„Ani Paryż, ani Wiedeń. Od stóp do głów ubrana jestem w Warszawie".

— Błagam, powiedz, w jakiej firmie...

„W tej, gdzie ubiera się każda elegancka warszawianka: w firmie

KLEMENTYNA KOZŁOWSKA

— Mówisz o kapeluszu... Przecież i ja tam zawsze nabywam kapelusze. Ale ja pytam o suknię!

„Moja suknia też pochodzi z domu modeli -

KLEMENTYNA KOZŁOWSKA

— Jakto? To istnieje druga firma tej nazwy?

„Nic podobnego! Istnieje jeden dom modelowy, gdzie dostaniesz zarówno najbardziej twarzowy kapelusz, jak i najszykowniejszą suknię, czy płaszcz. Nasza sympatyczna pani Klementyna ubiera teraz swe klijentki — właśnie od stóp do głów. 16 września otworzyła w swym dawnym lokalu, w Alejach Jerozolimskich 37, obok Hotelu Polonia, dział sukien i płaszczy. A że ma znakomitego krojczego, prześliczne modele, olbrzymi wybór i masę osobistego gustu — więc kreacje jej są naprawdę czarujące. Przytem uprzejmość właścicielki — znana jest wśród wszystkich klijentek. Stąd sukces — poprostu niebywały! Drzwi się nie zamykają...

— Ach, jakże ci jestem wdzięczna za tę wiadomość! Chcę koniecznie wyglądać tak wytwornie jak ty... Natychmiast idę do pani Klementyny. Pa!

NOWA KSIĄŻKA

Ostatnio ukazała się na półkach księgarskich, praca historyczna Ksawerego Zdańskiego, pod tytułem: „Przyczynki, do dziejów powiatu brzesko - litewskiego i ziem nim objętych", skład główny Gebethner i Wolff str. 132.

Jest to monografja ziem, tworzących niegdyś powiat brzesko-litewski, w której autor daje nam na wstępie zarys ogólny, oraz historję tych ziem pod względem politycznym i społecznym.

Część dalsza wkracza w dziedzinę geografji historycznej i zawiera szczegóły, dotyczące przeszło 360 miejscowości, znajdujących się na omawianym obszarze, a teren to dość rozległy, gdyż jak się okazuje, składają się nań w całości obecne powiaty: brzeski, kobryński i prużański oraz częściowo: włodawski, drohicki i bialski.

Część ostatnia zawiera spis szlachty powiatu brzesko - litewskiego oraz jej majętności, załączona zaś mapka orjentuje w omawianym przez autora terenie.

Jest to praca o charakterze regjonalnym i zainteresować winna przedewszystkiem miejscowe władze samorządowe, tu jednak podkreślić należy, że specjalną również uwagę zwrócić na nią powinno miejscowe ziemiaństwo.

Szerszy ogół również znajdzie w tej ciekawej, poważnej i źródłowej pracy niejeden szczegół interesujący, gdy się zważy, że ziemie te są kolebką mężów tej miary co Tadeusz Kościuszko i Romuald Traugutt.

NAJNOWOCZEŚNIEJ URZĄDZONA STACJA OBSŁUGI!

W najbliższym czasie znany fachowiec p. Z. Popławski uruchomi najnowocześniej urządzone warsztaty reperacyjne przy swojej fabryce przy ul. Promenada 1/3.

Zaznaczyć należy, że przed kilku miesiącami firma „MAGNET" uruchomiła w centrum miasta skład fabryczny wyrobów krajowych i reprezentowanych firm zagranicznych.

CZY PANI WIE, ŻE...

...piękność pani włosów zależy od tego, co pani jada. — Pewien znakomity lekarz specjalista od urody kobiecej i djetetyki, pielęgnujący wszystkie znakomite gwiazdy Hollywoodu, ustalił cały szereg środków bardzo prostych, które zapewniają jego klijentkom piękność włosów, świeżość cery, harmonję kształtów, etc. Będziemy tu podawali niektóre jego przepisy wypróbowane z doskonałym skutkiem przez najpiękniejsze kobiety świata.

Aby mieć włosy lśniące i puszyste—lekarz ów zaleca: szklankę zwykłego owsa zalać litrem gotującej wody, niech namoknie przez całą noc. Rano — zlać tę wodę, osłodzić ją miodem, i pić po szklance dziennie. Czy może być coś prostszego? (Zauważmy, nawiasem mówiąc, że i konie, dostatnio karmione owsem, mają sierść błyszczącą i gładką. Okazuje się, że dla pięknych pań stosować należy to samo)...

■

...inny przepis, trochę, kosztowniejszy—to świetny cocktail, zalecany przez tegoż lekarza na porost włosów. Wycisnąć szklankę soku ananasowego (dobrze im mówić — w Ameryce ananasy kosztują tyle, co u nas kartofle)... Rozbić w niej jedno żółtko. Nie słodzić. Pić taki cocktail choćby nawet dwa razy dziennie. Zawiera bowiem mnóstwo jodu, który jest dla piękności i bujności włosów absolutnie niezbędny.

■

■

...maquillage — rzecz konieczna! — Bez różu i pudru każda z nas wygląda, jak nieumyta. Ale wieczorem — żadne największe nawet zmęczenie nie może nas usprawiedliwić: maquillage musi być bardzo dokładnie zmyty z twarzy, inaczej zatkane pory w nocy nie oddychają. I cera rano będzie ziemista...

Radzę umyć twarz wodą ciepłą z mydłem, jeżeli mydło nie drażni pani skóry. Poczem zmoczyć watę w następującym, spreparowanym w domu płynie: na szklankę wody różanej wcisnąć sok z jednej cytryny — przecedzony przez płótno. Twarz i szyję dokładnie wytrzeć tym płynem. Przy cerze bardzo suchej dodać jeszcze łyżkę stołową gliceryny, doskonale skłócić przed użyciem.

Płyn ten doskonale czyści, odświeża i udelikatnia skórę.

■

...mleko jest znakomitym środkiem na utrzymanie ładnych zębów. — Niech się pani nie boi utyć — to głupi przesąd. Gwiazdy ekranu piją mleko, aby zęby utrzymać w zdrowiu i pełni urody. Równie skuteczny w tym celu jest sok z pomarańcz. Dlaczego? Dlatego, że stwierdzono, iż zarówno w mleku, jak w soku pomarańczowym znajduje się wiele wapna, a jest to pierwiastek z którego przecież organizm nasz w niemowlęctwie wytwarza swoje zęby...

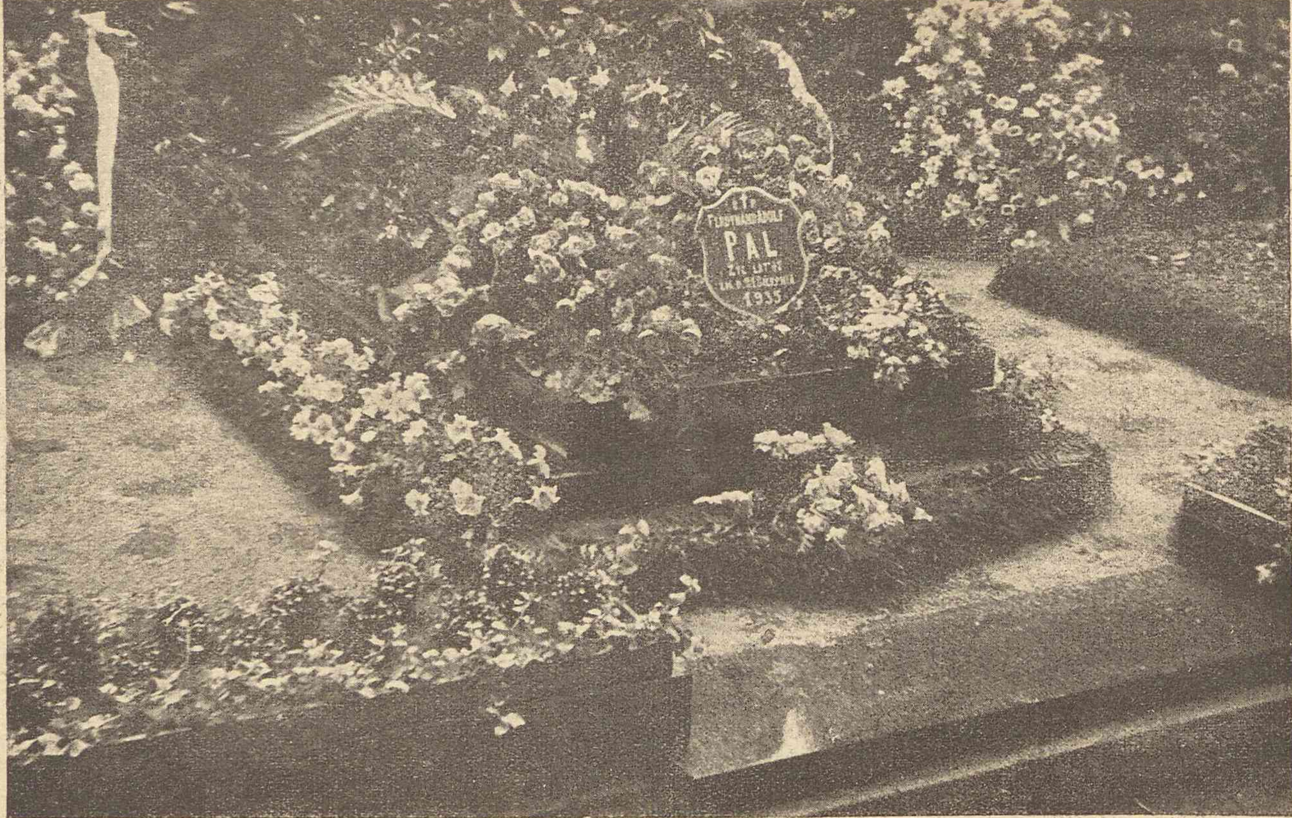
■

...bardzo ładna i smaczna przekąska, często podawana we Francji, robi się tak: wziąć pudełko sardynek. Porozkrawać je wzdłuż na połówki. Ułożyć każdą na listku zielonej sałaty. Skropić lekko sokiem cytrynowym. Ubrać gęstym sosem majonezowym, ugarnirować ładnie pokrajanemi korniszonami. Podawać bardzo zimne.

■

...meble nowoczesne mają politurę gładką i błyszczącą. — Znać na niej plamy — trzeba ją utrzymywać starannie. W tym celu nacierać leciutko, ale wytrwale, płynem, na który złożą się w równych częściach: oliwa nicejska najświeższa, ocet winny i najlepsza terpentyna francuska. Płyn doskonale wstrząsnąć w butelce przed użyciem. Flanelkę skropić tym płynem bardzo lekko, żeby była ledwo wilgotna. Nacierać długo. Poczem zakończyć tę operację takiem samem natarciem, ale flanelką zupełnie suchą, miękką i czystą.

Dama Pikowa.



Grobowiec ś. p. Ferdynanda Adolfa Pala, zgasłego przedwcześnie dnia 21 sierpnia 1935 r., założyciela i współwłaściciela firmy „Dobrolin", godnego obywatela, zasłużonego pioniera przemysłu polskiego, propagatora idei samowystarczalności gospodarczej kraju, niezmordowanego pracownika na niwie naszego życia gospodarczo-społecznego i twórcy placówki, zapewniającej byt setkom rodzin.



ZYGMUNT HERTZ

ZYGMUNT HERTZ.

ŚPIEW CISZY

Ciszy pożądam, której nic nie skłóci,
Ciszy skupionej, ale nieuchwytnej,
Ciszy, co pachnie kwiatami paproci —
Ciszy błękitnej.
Dlatego czasem błądzę po mogiłach,
Sam też milczący, jak pomnik cmentarny,
Wykuty w twardych, granitowych bryłach,
Jak — pyłek marny.
I wtedy myślę, żem prawie szczęśliwy,
Całując ciszę w jej milczące usta,
Z martwymi razem, chociaż jeszcze żywy,
Blady jak chusta.
I jest mi wtedy dziwnie nieuchwytnie,
Czuję, że we mnie wszystko sie rozwiewa...
Słyszę akordy kolorów błękitne,
To cisza śpiewa.

KARELJA — KRAJ LASÓW I JEZIOR

Karelja jest to kraj położony w północo-zachodniej części ZSRR. na granicy z Finlandją, kraj posiadający piękno swoiste. Obszar Karelji wielkości 145.206 kw. klm. w 85% pokryty jest wspaniałymi lasami. Jeziora w liczbie 2.500 pełne są pierwszorzędnych gatunków ryb.

Lasy stanowią podstawę gospodarki Karelji.

Wielką rolę w gospodarczym rozwoju Karelji odegrała budowa kanału Białmorsko-Bałtyckiego, będącego jedną z największych budowli hydrotechnicznych na świecie.

Sieć stacyj traktorowych dodatnio odbiła się na rozwoju rolnictwa.

Karelja posiada obecnie wyższą Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego, Instytut Pedagogiczny, 13 rozmaitych szkół technicznych oraz Oddział Leśnej Akademji i Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Leningradzie.

Karelja posiada 16 pism, wydawanych w języku fińskim i rosyjskim.

M. Petrozawodsk, — stolica, polityczny i kulturalny ośrodek Karelji, posiada szereg muzeów, 2 teatry narodowe, oraz wiele zabytków przeszłości.

Pomimo, że Karelja zaczęła rozwijać się znacznie później, niż inne republiki sowieckie, kraj ten ma wielką przyszłość dzięki wielkim bogactwom naturalnym.

Mil.

DOBRE RADY PANNY ADY

Wzorem wielu pism krajowych i zagranicznych postanowiliśmy i my wprowadzić dział odpowiedzi na listy czytelników. Będziemy odpowiadali w formie życzliwych i przyjacielskich rad i rozwiązywać najintymniejsze problemy z dużą dozą wyrozumiałości i współczucia dla znękanej duszy ludzkiej. Gruntowne studja psychologji w zakresie sześciu klas gimnazjum typu matematyczno - przyrodniczego, upoważniają nas do podjęcia z pełną odpowiedzialnością tego trudnego zadania. Piszcie do nas wszyscy, którym brak pociechy i dobrego słowa, którzy pragniecie tęsknicie, macie nadzieje, szukacie wyjścia. My się już wami zajmiemy.

Na pierwszy ogień idą listy czytelników z prowincji.

Wisienka z Nowego Targu: Pisze Pani: Mam z Nim już pięcioletniego syna i trzyletnią córeczkę. W najbliższym czasie spodziewam się dalszego potomstwa, a dotychczas nie wiem jak On się nazywa. Kiedy jesteśmy razem — wołam na Niego pieszczotliwie — Franciszek. Mam jednak wątpliwości czy to jest prawdziwe nazwisko. Wśród swoich znajomych nosi imię Kaprawego Byka. Też nie wiem, czy to jest chrzestne imię. Człowiek, nie powiem, dobry jest, dzieci kocha. Raz tylko Euzebjuszka poranił siekierą, ale to niechcący, bo właściwie rzucał we mnie. Przed trzema laty wyszedł na chwilę z domu i dotąd nie wrócił. Droga Panno Ado, zaczynam być już o Niego niespokojna, zawsze był wątły i słabowity, — może mu się coś stało. Co mam robić, nie wiem jak się nazywa — jak więc go odszukać?

Kochana Wisienko, w Warszawie przy ul. Daniłowiczowskiej znajduje się główny urząd śledczy. Tam pani napewno odnajdzie swego Franciszka, zakatalogowanego w albumie, w trzech pozach, z kolejnym numerem i odciskami palców. Gdyby go w mamrze nie było, niech pani czeka. Jeszcze dziesięć, piętnaście latek, a wyjdzie nowa amnestja, Franca wypuszczą i znów będziecie szczęśliwi.

Zosienka ze Starogardu: Historja Pani jest nieco dziwna i zagmatwana. Zgodnie z życzeniem przytaczamy niektóre fragmenty listu, ku przestrodze i bacznej uwadze naszych miłych czytelniczek.

„Jestem mężatką od paru lat. Mąż mój zajmuje poważne stanowisko w miejscowej straży ogniowej. Żyliśmy dotąd w niczem niezamąconej harmonji serc tudzież ciał. Pewnego dnia jednak zjawił się u nas kochanek mego pierwszego męża, nazwijmy go panem X, i naraz wszystko prysło. Pan ten zachowywał się tak agresywnie, że zdołał, dzięki zręcznym sztuczkom uwieść, nietylko mnie, ale i mego obecnego męża. Kiedy dowiedziałam się o stosunku, jaki łączy tych dwu najbliższych mi ludzi, postanowiłam się zemścić i tego samego jeszcze dnia zdradziłam ich z moją szwagierką. Jak dotąd wszystko byłoby w porządku, gdyby mi szwagierka nie wyjawiła głębokiej tajemnicy, że od kilku miesięcy żyje z panem X i ma z nim sporego chłopczyka. Tego było aż nadto! O, słodka zemsto. Nie wytrzymałam i jeszcze raz pomściłam moją krzywdę, zdradzając wszystkich z przystojnym porucznikiem szwoleżerów a moim rodzonym bratem. Chciałam bowiem, aby wszystko zostało w rodzinie. Brat mój jest miłym i skromnym człowiekiem, ale i jego dosięgnęły macki potwora — pana X. Teraz jestem u kresu sił, wyczerpałam wszystkie możliwe środki, by ukarać niecnego uwodziciela i nie mam pojęcia co dalej robić".

Na wszystko znajdzie się sposób, droga Pani. Nie trzeba tylko z rozpaczy załamywać rąk. Ja osobiście radzę pani następujące rozwiązanie: Panu X sześć kul rewolwerowych — kaliber 7,2. Mężowi — dziesięć deka strychniny. Szwagierce — zalzajerem w twarz, a bratu, który najmniej jest winien można dać zwykłej esencji octowej (98%). Gdyby i tego było pani mało, można jeszcze zrobić mały wypad w dziedzinę licznych zboczeń seksualnych, ewentualnie zwrócić się do nas osobiście (codziennie od piątej do siódmej, z wyjątkiem niedziel i świąt).

Marylka z Białegostoku. Czytam Pani list i płaczę. Płaczę serdecznie nad małem, zbolałem serduszkiem dziewczęcem, nad umęczoną duszyczką. Żal mi pani niewymownie. Tyle, tyle cierpień, tyle łez przelanych i nieprzespanych nocy, tyle strasznych krzyków z głębin najczarniejszej rozpaczy. Znam to, Marylko, doskonale, sama niejednokrotnie przechodziłam takie stany, kiedy serce rwie się na strzępy, ciało pali ogniem, krew zalewa oczy, a piersi, zda się, pękną pod stanikiem od serdecznego szlochu. Dlatego boleję razem z panią. Pani cierpienie — jest moim cierpieniem, pani tragedja — moją tragedją. Wyciągam do pani ramiona i mówię: pójdź. Chcę cię przytulić, ogrzać własnem ciepłem, pocieszyć i ukoić. O, umęczona duszo ludzka! Niech pani spróbuje nie myśleć. Zapomnieć, wydrzeć z siebie to piekło, zdusić i stłamsić dręczące wspomnienie. Cóż mam pani innego poradzić, biedna siostrzyczko. Może pani spróbuje podać jeszcze raz ogłoszenie. Tylu jest przecież uczciwych ludzi na świecie, kto wie czy nie odzyska pani swojej zguby.

Włodzimierz Łukasik

CLAUDE FARRERE

DWA WŁOSY

W owych czasach góry Magrebu były jeszcze dzikiemi górami. Mieszkali w nich rozbójnicy, którym dobrze się wiodło. Władza ich była bodaj nieograniczona, albowiem Machzen, w którym po wsze czasy sprawował oficjalne rządy sułtan, posiadał władzę, która nie sięgała daleko. I ponieważ Francuzi w owym czasie jeszcze się tam nie pojawili.

Tak tedy w górach między Średnim a Wielkim Atlasem, nieopodal źródeł rzeki Um-er-Rebia, żył w owym czasie mąż odważny, k a i d z pochodzenia i a m r a r z wyboru. Jeśli człowiek ten został naczelnikiem plemienia, to stało się to, naturalnie, wyrażając się mową ludów europejskich, z łaski Allacha i woli plemienia. Z władzy tej, która w ten sposób podwójnie przypadła mu w udziale, kaid-amrar korzystał z jaknajwiększą mądrością. Będąc bowiem panem wszystkich wąwozów i przełęczy, Rebia ustanowił tam pewnego rodzaju myto drogowe. Zbrojną ręką zatrzymując podróżnych, łupił ich bez litości. W ten sposób całe plemię żyło w dostatku i dobrobycie.

A kaid-amrar, krynica tych wszystkich błogosławieństw i łask, jakie Allach zsyłał na mężczyzn, kobiety i dzieci plemienia, tudzież na wszystkie ich trzody i plony — poznał tę słodką radość, tę boską nagrodę, jaka jest udziałem tych wszystkich, którzy należycie wypełniają swój obowiązek i dla których stworzony został raj.

I otóż zdarzyło się, że w pałacu swym w Fezie zmarł wówczas sułtan — niech go Allach ma w swej opiece! A drugi sułtan — niech go Allach również ma w swej opiece — nastąpił po nim. Ten zaś nie kontentował się już tem, że był kalifem, zastępcą Pana — pragnął być również władcą wszystkich wiernych i człowiekiem potężnym, przed którym korzyliby się wszyscy pomniejsi władcy.

A po tamtej stronie gór kaid-amrar dalej łupił swoich podróżnych. Sułtan posłał mu rozkaz, by zaprzestał tych łupiestw. Aliści kaid-amrar, zważywszy z jednej strony nakaz sułtana i prawdopodobny jego gniew, z drugiej zaś strony pomyślność swego plemienia, osądził, że to ostatnie przeważa nad pierwszem i nie usłuchał rozkazu. Natenczas sułtan wyprawił „mehallę" (kolumnę, oddział wojska — przyp. tłum.) z rozkazem dostarczenia do Fezu buntownika ze skrępowanemi nogami i rękami. Mehalla zabrała ze sobą klatkę żelazną. Lecz kaid-amrar był, jak się rzekło, panem wszystkich wąwozów Średniego Atlasu i wszystkich wąwozów Wielkiego Atlasu. Mehalla wróciła tedy pobita na głowę, pozostawiwszy wielu zabitych, dużo broni i taboru. W żelaznej klatce również zdobytej, kaid-amrar zamknął potem dwa swoje najpiękniejsze lwy.

Sułtan rozgniewany, zwołał na naradę swoich ministrów. Wszyscy milczeli nie wiedząc, co powiedzieć. Lecz wieczorem tegoż dnia, sułtan poradził się również swojej mamki; a ta—jako kobieta — sprytniejsza była od wszystkich mężów rady. I wkrótce potem, Czerkieska z cesarskiego haremu, Czerkieska nad wyraz piękna, opuściła Fez, kierując się ku górom.

Była jasnowłosa jak szczere złoto. I niedługo trwało, a kaid-amrar przestał podziwiać blask słońca, podziwiając jedynie blask, spływający ze złocistych włosów jego branki. I dla niej też zapomniał o wszelkiej przezorności i honorze.

...Być może, to właśnie przewidywała mamka sułtana, sprytniejsza od wszystkich mężów rady...

Mijały dni, potem tygodnie, wreszcie miesiące. A gdy upłynął rok, kaid-amrar nie miał już innej woli prócz woli tej, która go ujarzmiła.

Otóż pewnego dnia, gdy Czerkieska była w namiocie kaid-amrara sama ze swym kochankiem, ośmieliła się w pewnej chwili zadać mu pytanie:

— Jeślibym związała twoje nogi i ręce żelaznym łańcuchem— powiedz, czy opierałbyś się?

On odparł:

— Tobie nie opierałbym się.

Więc podjęła nanowo:

— A gdybyś miał ręce i nogi związane tym łańcuchem i wrogowie twoi wtargnęliby nagle do namiotu, by cię pochwycić — cobyś uczynił?

Spojrzał na nią, nie odsuwając się od niej:

— Potrząsnąłbym znagła nogami i rękami, zerwałbym wszystkie łańcuchy i pęta i pozabijałbym wszystkich wrogów. Gdyż siłę mam ogromną.

Wiedziała, że mówił prawdę: siłę miał bodaj jeszcze większą, niż mówił.

A potem rzekła niespodzianie:

— A jeślibym związała twe ręce i nogi włosem z mojej głowy — czy opierałbyś się?

Odparł, jak już poprzednio odpowiedział:

— Tobie — nie opierałbym się.

Zawahała się, ale potem spytała:

— A gdybyś miał ręce i nogi związane tym włosem i wrogowie twoi wtargnęliby nagle do namiotu?..

Spojrzał na nią, tym razem odsuwając się od niej nieco.

— Mówiłem ci przecież, że ani tobie, ani niczemu co twoje nie będę się opierał. Twego włosa nie zerwę. Nigdy, cokolwiek się stanie.

Znała go. Wiedziała, że kłamstwo nigdy nie przeszłoby przez jego usta.

I wówczas podniosła się szybko. I szybko z głowy swej wyrwała jeden włos. I włosem tym szybko związała obie ręce kaida. Poczem, drugim włosem związała jego obie nogi.

Zaczem, powstawszy, klasnęła w dłonie i krzyknęła.

W tej samej chwili wpadli do namiotu ludzie przez nią przekupieni i rzucili się na jeńca. On spojrzał na nią. Lecz nie zerwał ani pierwszego włosa, ani drugiego.

Nie zawołał nikogo...

Choć na pierwsze zawołanie z jego ust nadbiegłoby wielu niewolników.

Wolał jednak ulec tej zdradzie i dać się poprowadzić do swego wroga, sułtana Magrebu, który, pojmawszy go podstępem wydał na śmierć wśród okropnych mąk.

Tak oto skończył ów kaidamrar, większy od Samsona, którym chełpią się żydzi.

I tak to opowiedział mi tę historję pewnego dnia mój szlachetny przyjaciel sid Kaddour ben Gabrit, szef protokółu jego szeryfowskiej mości — kiedy obiadowaliśmy razem, on i ja, przy wspaniale zastawionym stole kaida el Glaua w Marakeszu.

Gdyż taka jest wiara Berberów z Magrebu, lwów i lwich synów.

Allach niech nas wszystkich ma w swej opiece.

Przełożył *M. Gł.*



Szereg emocjonujących scen z najnowszego filmu Gary Coopera p. t. Żółty Skarb. Film ten reżyserował dla Paramountu słynny realizator „Na Zachodzie Bez Zmian" — Lewis Milestone.

Fot. Paramount

Popularność

Trampy amerykańskie znaleźli nowy sposób podróżowania bez pieniędzy. Fotosy gwiazd filmowych zastępują im zarówno banknoty jak paszport.

Pewnego dnia, podczas nakręcania zdjęć plenerowych do filmu „Swing Time", do Freda Astaire'a zbliżył się włóczęga z prośbą o cztery fotosy z autografem.

— Ale po co aż cztery? — zapytał Fred.

— Umożliwi mi to podróż do Kansas City, — brzmiała odpowiedź, — będę je sprzedawał kolejno.

Popularność obowiązuje, to też tramp dojechał do miejsca przeznaczenia.

Nowa Rola Mac Murray'a

Fred MacMurray, bohater wielu filmów wytwórni Paramount, zyskuje co raz większą popularność. Obecnie pracuje on przy filmie „Walc szampański", w którym gra obok Gladys Swarthout. Natychmiast po ukończeniu tego obrazu MacMurray przystąpi do pracy nad filmem „Świt, dzień i noc", gdzie partnerką jego będzie Carola Lombard, z którą grał już w paru filmach.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca



Greta Gordon
występuje od dziś w dancingu Paradis.

Lili Pons

Lily Pons, debiutowała w 1928 r. w operze „Lakmé" w małym teatrzyku alzackim. Entuzjastyczne przyjęcie, jakie przygotowała jej publiczność było niespodzianką dla młodziutkiej śpiewaczki. W czasie tym nie śniło się jej nawet, że cztery lata później będzie ona śpiewała w tejże operze na scenie Metropolitan Opera House w New Yorku i że publiczność amerykańska przyjmie ją owacyjnie.

* * *

Liey Pons urodziła się w Cannes i — jak sama oświadcza — od wczesnej młodości marzyła o karjerze scenicznej.

— Jak większość dziewczynek myślałam, że teatr jest dla mnie najodpowiedniejszem miejscem.

Ale matka Lily Pons była innego zdania: chciała, aby córka jej została pianistką. Jako uczenica konserwatorjum paryskiego, Lily wkrótce wybija się na jedno z pierwszych miejsc. Mając 15 lat, otrzymuje ona pierwszą nagrodę.

Podczas wojny europejskiej uczniowie konserwatorjum nieraz urządzali koncerty w szpitalach dla rannych. Pewnego dnia jeden z rannych poprosił Lily Pons, aby coś zaśpiewała. Po chwili namysłu, Lily odśpiewała piosenkę. Zachwyt jej słuchaczy pobudził ją do dalszych występów tego rodzaju.

Mając lat 18, Lily Pons wystąpiła w małej roli, którą odtworzyła z pewnością i precyzją doświadczonej artystki. Za namową przyjaciół, Lily postanawia szkolić swój głos i zwraca się do Alberto di Corrostiaga, który w tym czasie zamieszkiwał w Paryżu. Oczarowany głosem młodej artystki, Alberto di Corrostiaga przepowiada jej, że za pięć lat będzie ona śpiewała w operze nowojorskiej. Przepowiednia ta spełniła się.

Przed dwoma laty, śladem tylu innych, Lily Pons zawędrowała do atelier filmowego. Jej debiutem filmowym był film nakręcony p. t. „I Dream Too Much" (tytuł polski: „Kobieta zawsze ma rację").

W ten sposób, poprzez film, nie tylko nieliczni wybrani, ale szerokie masy będą mogły podziwiać przepiękny głos Lily Pons.



RECENZJE FILMOWE

„Skowronek" **Casino**

Warszawa jest od dłuższego czasu zapamiętałą zwolenniczką filmów wiedeńskich. Austrjaccy producenci potrafili w ciągu krótkiego czasu osiągnąć ogromne sukcesy na polu filmowem, stwarzając typ lekkich, wesołych obrazów, wykonanych doskonale technicznie, starannie opracowanych muzycznie i dźwiękowo a nadewszystko, odznaczających się pomysłowością, wdziękiem i kulturą.

Dodatniem świadectwem wyrobienia estetycznego publiczności polskiej są nienotowane sukcesy wyświetlanych filmów. Nie wystarczy nam już standartowy obraz amerykański, który po miernem powodzeniu schodzi w zapomnieniu z afisza, nie wystarczą niedowarzone często pomysły i wykonanie rodzimych (właściwie może nie nazbyt rodzimych) scenarzystów i reżyserów.

Karol Lamacz, jeden z najzdolniejszych obecnie realizatorów europejskich pokazał nam znów jak powinno się robić film. Scenarjusz wyjątkowo prosty, oparty na śmiesznem nieporozumieniu, rozwija się przed naszemi oczami łatwo, bezpretensjonalnie, swobodnie. Urocza Marta Egerth ma wymarzoną rolę z mnóstwem melodyjnych piosenek, obfitością zabawnych momentów i dużą porcją naiwności, prostoty i sentymentu. Jej srebrzysty głos perli się kaskadami koloratury, upaja głębokiemi, chwilami dramatycznemi frazami, aby z lekkością i świeżością oczarować słuchaczy słonecznem rozradowaniem. Na tle pięknego pejzażu, wśród lasów i zbóż, w lekkiej, prostej sukience, miła gwiazda opiewa urok natury, radość życia i wewnętrzne wesele. Marta Egerth ma tu tyle wdzięku, wrodzonej kokieterji i uroku, że podbija najoporniejszego widza, a że i toalety jej stanowią swoisty poemat lekkości i dobrego smaku, jej słoneczna uroda tryumfuje.



Gladys Swarthout

fot. Paramount

Partner baronówny Bardy, Hans Sönuker nie miał, w cieniu miłej gwiazdy, wielkiego pola do popisu. Grał żywo i był ujmujący, jego dobry humor i szczery uśmiech trafiał do widza. Całość zespołu aktorskiego została dobrana trafnie i wywiązała się z powierzonych ról bez zarzutu. Typy charaktreystyczne— świetne. Słabą stroną było pewne przeszarżowanie sceny zastępstwa rzekomo nieobecnej baronówny, przez jej pokojówkę. Zbytnie rozciąganie tej sceny, w tak dobrym filmie musiało wywołać wrażenie niesmaku.

Okrasą filmu są piękne zdjęcia plenerowe, śliczny zachód słońca nad jeziorem i poetyczne potraktowanie tła.

W sumie mamy jeden z celniejszych utworów komedjowych bieżącego sezonu.

Nad program: Kreskówka Walta Disney'a „Walka kogutów" razi brutalnością ujęcia przy dość dobrej grotesce. Tygodnik Pata przynosi dość świeże zdjęcia, głównie zagraniczne. Dużem nieporozumieniem wydaje się krótkometrażówka Dromlewiczowej w opracowaniu Biskego: wycieczka do Muzeum Wojska. Irytujący jest podkład muzyczny i objaśnienia Tadeusza Bocheńskiego, którego staranność dykcji drażni.

J.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa